

# Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU  
POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 132 (Rok IX, Nr 3)

Marzec, 1949

Cena (Price) 2/-

## J A S N E S T A N O W I S K O

POLSKA jest jedynym spomiędzy krajów położonych za tzw. żelazną kurtyną, który zachował ciągłość prawną swych naczelnych władz i instytucji państwowych, choć władze te — w wyniku obecnych warunków — z konieczności czynne są przejściowo na obczyźnie. Jest coś szczególnie krępującego w fakcie, że nawet zawierucha lat ostatnich, która wstrząsnęła posadami świata, nie zdołała zerwać więzi prawnej i uczuciowej, łączącej dwudziestolecie odbudowanej niepodległości — poprzez bohaterskie walki narodu polskiego z nawałą niemiecką w czasie Druhej Wojny Światowej — z obecnym okresem ponownych wysiłków o uwolnienie Polski spod nowej wrogiej okupacji. Jest też rzeczą oczywistą, że mimo obecnego stanowiska mocarstw Zachodu nie będą one mogły w razie zmiany położenia międzynarodowego przejść do porządku nad legalnymi władzami Rzeczypospolitej, jeśli władze te poparte zostaną zwarciem i solidarnie przez społeczeństwo polskie i jego polityczne organizacje.

Tym bardziej zdumiewać muszą wystąpienia ludzi, którzy zdają się zupełnie nie docenić ogromnego atutu, jaki dla sprawy naszej przedstawia fakt przetrwania prawowitych władz Państwa Polskiego. Nowym smutnym tego przejawem jest artykuł, jaki ukazał się w dwutygodniku „Jutro Polski“, londyńskim organie PSL, w dniu 30 stycznia rb. pt. „Pod obłudnym symbolem“. Autor jego wypowiada szereg uwag krytycznych pod adresem tzw. sanacji, sprawę tę jednak w osobliwy sposób łączy z zagadnieniem legalizmu, sugerując, że został on przez „sanację“ zmopolizowany i wobec tego — nie przedstawia większej wagi. Mamy tu oczywiście do czynienia z zupełnie błędną hierarchią wartości; zmagania stronnictw czy obozów politycznych nie mogą w żadnej mierze naruszać zasady

ciągłości prawnej państwa. Uzurpowaniu sobie przez jeden obóz polityczny — czy to będzie „sanacja“, czy kto inny — prawa do kierowania sterem państwowym, jeśli taki fakt zachodzi, zapobiec może tylko stanowcza postawa opinii publicznej i innych ugrupowań, działających w ramach istniejącego porządku prawnego, — nigdy zaś kontruzurpacja, choćby nawet kilku sprzymierzonych stronnictw. Taką drogą nie tylko znieszczyłoby się prawną ciągłość Państwa Polskiego, ale i wprowadziłoby się w polskie życie polityczne zupełną anarchię. Trudno wprost uwierzyć, że znajdują się dotąd jednostki czy grupy, które te oczywiste prawdy próbują podważać — i to tylko dlatego, że ich polityka w latach ostatnich poddana została ostrej, lecz chyba zupełnie zrozumiałej krytyce.

O wystąpieniach „Narodowca“ ukazującego się w Lens we Francji, wolimy nie pisać. Robią one wrażenie — a odnosi się to zwłaszcza do londyńskich korespondencji tego pisma znaczonej inicjałami ar — jakby wyłącznym ich celem było dalsze skłócanie i jątrzenie stosunków na emigracji.

Ale i z drugiej strony nie brak wystąpień, których charakter zgola nie jest konstruktywny. Należy tu np. korespondencja na temat przesilenia w Rządzie Polskim w Londynie, jaka się ukazała w „Orle Białym“ z dnia 19 lutego rb., pełna złośliwych insynuacji pod adresem Stronnictwa Narodowego, ubranych w formę „pogłosek“. Owe rzekome „pogłoski“ tłumaczą „postępowanie Stronnictwa Narodowego grą taktyczną i próbą zajęcia stanowiska między legalizmem i p. Mikołajczykiem“. By scharakteryzować wartość takich sugestii wystarczy raz jeszcze przypomnieć niezmiernie doniosłą pod wieloma względami rozstrzygającą rolę, jaką przy uratowaniu ciągłości prawnej

państwa Stronnictwo Narodowe odegrało zarówno w tragicznym roku 1944, kiedy tak walnie przyczyniło się do powstania antykapitulacyjnego rządu Tomasza Arciszewskiego, — jak i później po zgonie Prezydenta Raczkiewicza w roku 1947, gdy przez swą postawę zapobiegło chaosowi, jaki już się począł szerzyć na tle zagadnienia prezydentury.

Jeśli obecne Stronnictwo Narodowe głosi potrzebę oparcia rządu polskiego na emigracji o wszystkie główne ruchy polityczne, to właśnie dlatego, by postawę legalizmu rozszerzyć i przez to wzmocnić. Nie trzeba chyba dowodzić, jaką szkodę sprawie polskiej przynosi, a tym bardziej będzie musiało przynosić w przyszłości istnienie dwóch ośrodków politycznych, między którymi obcy będą mogli dowolnie wybierać. Jeśli w chwili obecnej prawowite władze Rzeczypospolitej mają głównie charakter moralno-prawny, a zakres ich działalności politycznej i administracyjnej jest z konieczności bardzo ograniczony, nie oznacza to, by miały z działalności tej w ogóle zrezygnować i zamykać sobie drogę do jej rozszerzenia w przyszłości. Przeciwnie, należy już teraz stwarzać odpowiednie ku temu warunki.

Głosząc potrzebę rządu możliwie reprezentatywnego Stronnictwo Narodowe podkreślało zawsze z całą stanowczością, że n.e. może się to w żaden sposób odbywać z uszczerbkiem czy to dla ciągłości prawnej Rzeczypospolitej, czy też jej terytorialnej integralności. W korespondencji swej „Orle Białym“ zaznacza, że Stronnictwo Narodowe „uchodzi za największe ugrupowanie polityczne, popierające legalizm i prawowite rządy“. Jeśli jednak równocześnie autor artykułu wywołuje w umysłach czytelników wątpliwości przez notowane „pogłoski“, jakoby to największe ugrupowanie zeslizgiwało się we wręcz przeciwnym kierunku, sam sprawie legalizmu wyrządza dotkliwą szkodę.



W atmosferze takich i innych wystąpień prasowych rozwija się przesilenie rządowe, wywołane dymisją gabinetu gen. Bora-Komorowskiego, zgłoszoną dnia 7 lutego br. Rząd ten, który powstał latem 1947 roku, był niejako rządem „otwartych drzwi“ dla lewicy. Opierał się on pod względem politycznym na porozumieniu dwóch stronnictw, tj. Narodowego i Pracy z uwzględnieniem czynnika bezpartyjnego, a pod względem personalnym był przedłużeniem poprzedniego rządu Tomasza Arceiszewskiego bez PPS. Zasadniczy układ polityczny tego rządu nie mógł być zmieniony przez rozszerzenie koalicji wobec negatywnego stanowiska większości socjalistów. Można było natomiast, a nawet należało spodziewać się usprawnienia rządu, który złożony był nieco prowizorycznie. Taka „mała rekonstrukcja“ napotykała jednak na opór na wewnątrz i na zewnątrz gabinetu. Tym dziwniejsza stała się nagła dymisja trzech ministrów obecnie, gdy położenie jest szczególnie trudne, a możliwości usprawnienia prac rządu ograniczone.

Z kryzysu rządowego chcą skorzystać pewne czynniki, by przełamać zasadę rządu opartego o stronnictwa polityczne i zastąpić ją w jakiejś formie rządem „autorytatywnym“. Takie niewczesne pomysły, których urzeczywistnienie musiałoby odbić się jak najfatalniej na stanie sprawy polskiej i pogłębić rozbiście panujące na emigracji, a nawet mogłyby podważyć samą zasadę ciągłości państwowej, rodzić się mogą tylko w niezdrowej atmosferze emigracyjnej.

W chwili obecnej najważniejszymi wskazaniami przy tworzeniu nowego rządu wydają się: po pierwsze zachowanie zasad rządów przedstawicielskich, a więc opartych na głównych stronnictwach polskich, a nie na klikach lub „autorytetach“ w małym kręgu, po drugie zaś taki układ rządu, który by — zgodnie z tym, co powiedzieliśmy powyżej — nie przekreślał możliwości rozszerzenia jego podstawy politycznej na wszystkie główne stronnictwa polskie.

## PREZES BIELECKI W AMERYCE

Prezes Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, dr Tadeusz Bielecki odpłynął w dniu 10 lutego do Stanów Zjednoczonych statkiem „Queen Elisabeth“. W czasie swego, zapewne paromiesięcznego, pobytu w Ameryce, prezes Bielecki spotka się z przedstawicielami amerykańskiego świata politycznego, a także niewątpliwie z przedstawicielami Polonii amerykańskiej.

Wyjazd ten jest dalszym ciągiem działalności T. Bieleckiego na gruncie międzynarodowym, wiąże się on z pobytom jego w czasie ostatniego zgromadzenia UNO w Paryżu i z wcześniejszym wyjazdem do Hagi na zjazd „European Movement“.

Głównym celem pobytu prezesa Bieleckiego w Stanach jest zapoznanie świata amerykańskiego z zagadnieniami polskimi, a także zainteresowanie go losem i rolą uchodźstwa polskiego w wolnym świecie.

Bezpośrednio niemal przed wyjazdem dr Bielecki wygłosił przemówienie w Glasgowie. Omówił w nim obszernie położenie międzynarodowe i ocenił ostatnie wydarzenia tak w Europie, jak i na Dalekim Wschodzie. W końcowych ustępach przemówienia poruszył również sprawy wewnętrzno-polskie w związku z zadaniami polityki polskiej w świecie.

„Sytuacja nasza — mówił prezes Bielecki — nie jest beznadziejna, ale byłoby lekkomyślnością, gdybyśmy nie widzieli, że jest niezmiernie trudna. Stąd i zadania, jakie stoją przed polityką polską, są bardzo złożone i wymagają skoordynowanych wysiłków. Stąd nasze dążenie do skupiania sił, do łączenia a nie do dzielenia. Pierwszą naszą tezą jest utrzymanie ciągłości państwa polskiego, czyli legalnej podstawy naszego działania.“

Postulaty w stosunku do rządu sformułował mówca w dwóch punktach: „Uważamy, że rząd powinien być: 1) możliwie reprezentatywny, a więc oparty o główne tradycyjne ruchy polityczne; oczywiście partie nie wyczerpują całego życia polskiego i można uzupełnić rząd wybitnymi jednostkami, które nie należą do stronnictw, ale musi być utrzymana właściwa proporcja między przedstawicielami partii i tak zwanymi bezpartyjnymi; nie potrzebujemy dodawać, że rząd złożony z „bezparyjnych“ zawisłby w próżni; 2) wyrazem kraju a nie tylko emigracji; stąd podstawą rządu winny być stronnictwa tradycyjne a nie grupy powstałe na emigracji, bez korzeni w kraju; gdybyśmy się oderwali od kraju, byłibyśmy jak lotny piasek, gnany wicherem na wszystkie strony świata. Nie ukrywamy tego, że dążymy do jedności możliwie pełnej. Oczywiście nie jest to jedność za wszelką cenę, ale jeżeli nie ma zasadniczych różnic co do legalizmu, co do terytorium państwa polskiego, co do podstaw i celów głównych polityki polskiej i jej niezależności, to po co tworzyć dwie reprezentacje, w których by oby przebiegały“.

„Zarzucają nam — mówił dalej dr Bielecki — że nie odrzuciliśmy rozmów z PSL. Rzecz ciekawa, iż najgłośniej robą to ci, którzy serdecznie witali Mikołajczyka po jego ucieczce. Nie myśmy też posyłać do niego delegację.“ „Nie mogę jednak przyjąć, że ktoś nie może zawrócić z drogi błędnej i nie cieszyć się, jeżeli przeciwnik mój uparcie się błędów trzyma. Są czynniki, którym zależy na podziale, które chcą same trzymać sztandar niepodległości. Za słabe ręce. My nie tylko trzymamy sztandar niepodległej Polski, ale chcemy skupić dokoła niego możliwie szerokie koła Polaków i pragniemy tak działać, ażeby bez frazesów „niepodleg-“

łościowych“ odbudować państwo polskie i zatknąć jego sztandar w Warszawie. Inaczej sztandar polski leżeć będzie w muzeum emigracyjnym.“

## PRESSURE GROUP

Na tle przesilenia rządowego zarysowało się zjawisko dotąd nieznanne w polityce polskiej. Po raz pierwszy naznaczyło się istnienie grupy, której od pewnego czasu można się było jedynie domyślać. Grupa to niepartyjna i nie wiadomo nawet, czy można ją w ogóle określić jako polityczną. Tym niemniej usiłuje ona wywrzeć pewien wpływ na politykę polską. Szczupła ta grupa istnienie swoje zawdzięcza niedoświadczeniu politycznemu niektórych osobistości wojskowych i cywilnych. Może najbliższym określeniem technicznym byłaby tu amerykańska nazwa Pressure Group. W kołach politycznych polskich wspomina się o tych ludziach najczęściej jako o Kasjerach.

Wiele wydarzeń naszego życia emigracyjnego i wiele kłopotów jest niezrozumiałych dla opinii nie wiedzącej o istnieniu tego zjawiska. Opinia ta jednak zaczyna się domyślać i niepokoić. Może przyjdzie czas, gdy nie będzie innego wyjścia, jak bliższe wysvětlenie pewnych zakamarków naszego życia..

## RUCH EUROPEJSKI

Zapoczątkowana przez Churchilla organizacja „European Movement“, która odbyła w roku ubiegłym swój pierwszy zjazd w Hadze, odbywa w ostatnich dniach lutego w Brukseli pierwszy zjazd swej Rady, która wykonała ma pierwszy stały Komitet Wykonawczy. W skład Rady wchodzi delegaci grup narodowych ruchu w ilości zależnej od ilości ludności danego państwa. Dopuszczono również państwa z zażelazną kurtyną, z tym, że każda grupa narodowa emigracyjna delegować może dwóch przedstawicieli.

Jakkolwiek „European Movement“ nie ma charakteru ciała międzynarodowego ani realnego dotąd znaczenia w polityce, stanowi on poważną trybunę i ma znaczenie polityczno-propagandowe. Wynika z tego, że wysłanie pełnoprawnych delegatów polskich nie jest pozabawione dla nas politycznego znaczenia. Niestety, sprawa utworzenia grupy polskiej znalazła się na nienajlepszej drodze. Inicjatywa jej tworzenia znalazła się, w porozumieniu z sekretarzem E. M., na czele którego stoi p. Rettinger, w ręku p. Adama Ciołkowsza. Wysiłki tego ostatniego poszły w kierunku oparcia grupy o klucz partyjny, przy czym trzy czwarte miało mieć Porozumienie Stronnictw Demokratycznych, jedną czwartą Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy zaś miało być wykluczone a jego nazwa reprezentowana przez grupę p. Popiela. Przedstawiciele Stronnictwa Narodowego stali na stanowisku nie mieszania sporów wewnętrzno-politycznych, a nawet wewnętrzno-partyjnych, ze sprawą przedstawicielstwa polskiego w zjeździe Rady „European Movement“. Wysuwał w tym duchu propozycję w sprawie Stronnictwa Pracy i wprowadzenia znacznej



ilości przedstawicieli różnych dziedzin życia polskiego poza partiami.

Gdy porozumienia nie udało się osiągnąć, p. Ciołkosz sam zwołał zebranie organizacyjne grupy polskiej, które zakończyło się zupełnym niepowodzeniem: na kilkudziesięciu zaproszonych przybyło kilkunastu, część zebranych wysunęła daleko idące zastrzeżenia, nie obyło się bez ostrych starć słownych. Wyłoniono więc tylko czteroosobową komisję przygotowawczą (bez p. Ciołkosza). Przewodzącą tej komisji amb. Raczyński próbował doprowadzić do wyłonienia delegacji na zjazd bez tworzenia grupy.

Wysunięty był projekt kompromisowy, żeby na razie zostawić wolne miejsca dla Stronnictwa Pracy w grupie polskiej i uzgodnić między pozostałymi stronnictwami delegatów do Brukseli. Wszystkie ugrupowania, a więc Stronnictwo Narodowe, PPS i NID zgodziły się na ten projekt. Rzekomo zgodził się na to także delegat londyński PSL, ale nie mając pełnomocnictw musiał odwołać się telegraficznie do Prezydium swojego stronnictwa w Waszyngtonie. Odpowiedź była negatywna. W dalszej fazie wysunięty został nowy projekt, by do Brukseli pojechali z ramienia Polski p. Ciołkosz z PPS i p. Z. Stypułkowski ze Stronnictwa Narodowego jako delegaci do Rady Ruchu Europejskiego, oraz p. E. Raczyński jako przedstawiciel Polski do Komitetu Wykonawczego. Rzecz znamienna, że dla Polski, w odróżnieniu od innych krajów środkowo-europejskich, nie przewidziano miejsca w Komitecie Wykonawczym, choć mają je m. in. Czechosłowacja, Bułgaria i Węgry. Według krążących pogłosek, Polska nie miała mieć swego przedstawiciela w Komitecie Wykonawczym, ponieważ zasiadać w nim będzie sekretarz generalny, p. Rettinger, który jednocześnie miałby reprezentować Polskę; według innej wersji, chciało trzymać „ciepłe” miejsce dla p. Mikołajczyka, który wszedłby do niego z ramienia Zielonej Międzynarodówki, a przy tej okazji uznany by został za przedstawiciela Polski. Stąd też, pomimo osiągniętego porozumienia między PPS, Stronnictwem Narodowym i NID'em, że kandydatem polskim do Komitetu Wykonawczego powinien być p. Raczyński, Prezydium PSL dało odpowiedź negatywną co do jego kandydatury. Chciało też ono w ogóle zasadniczą sprawę delegata polskiego w Komitecie Wykonawczym pominąć, spodziewając się prawdopodobnie, że w Brukseli nastąpi fakt dokonany — według systemu tak często stosowanego w wypadku Polski w niedawnej przeszłości.

W tych warunkach, jak się dowiadujemy, zarówno Stronnictwo Narodowe jak i delegat NID'u uznali za niemożli-

we danie poparcia pp. Ciołkoszowi i Raczyńskiemu, którzy zostali zaproszeni do Brukseli jako „delegaci polscy” przez p. Gafencu, działającego z ramienia Komitetu Wykonawczego Ruchu Europejskiego.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że te dwie kandydatury były od paru tygodni postanowione i zatwierdzone przez egzekutywę „European Movement”, niezależnie od toczących się wśród ugrupowań polskich rokowań.

## ZJAZD PARYSKI EMIGRACJI

Zwoływany z półtorarocznym opóźnieniem zjazd niezbyt udanego tworzą, jakim jest Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego, znowu uległ odroczeniu. Szczęśliwie władze tej organizacji, z p. Z. Rusinkiem na czele oświadczyły, że muszą odwołać wyznaczony na ostatnie dni lutego termin zjazdu i przełożyć go prawdopodobnie na początek kwietnia. Powodem tym, razem ma być nie otrzymanie w terminie z poszczególnych krajów nazwisk delegatów. Nazwiska te mają być rzekomo niezbędne dla przedstawienia polskiej, francuskiej i tylko c. będą na zjazd dopuszczeni, których nazwiska będą w ten sposób notyfikowane. Za takim przedstawieniem sprawy kryje się poważne niebezpieczeństwo nowego złamania statutu. Weryfikację mandatów przeprowadza zjazd a nie komitet wykonawczy ani prefektura policji. Egzekutywa ZPUW, wybrana w r. 1946 jednostronnie, nie może pod żadnym pozorem przeprowadzać weryfikacji mandatów.

Sprawa ta ma praktyczne znaczenie w związku z sytuacją wytworzoną na terenie Niemiec. W strefie brytyjskiej Niemiec wybrano dwie delegacje na zjazd: jedną wyłonił pochodzący z powstanych wyborów zjazd Rady Brytyjskiej w Hanowerze, drugą kadłubowy, bez udziału prezesa Zjednoczenia, bez delegacji strefy brytyjskiej i części delegatów stref amerykańskiej i francuskiej, zjazd rady Zjednoczenia.

Obiektywnie biorąc, ten drugi wybór jest oczywiście nieważny. Ale tak się składa, że dokonał go koledzy partyjni i dawni wyborcy prezesa ZPUW. Czy można po nim oczekiwać w tej sprawie pełnego obiektywizmu?

Rzecz raczej zabawna, choć świadcząca nie najlepiej o wyrobieniu politycznym niektórych działaczy: koalicja tzw. rusinkowców w Niemczech składa się z przedstawicieli Ligi Niepodległości, SL Wolność i... PPS.

Pierwszy i dotąd jedyny zjazd ZPUW w r. 1946 nie był widowiskiem budującym. Działalność wyłonionych wówczas władz nie zaznaczyła się niczym poza utrzymywaniem spórego biura naprzód w Brukseli a następnie w Paryżu. Obawiać się można, że zjazd kwietniowy, jeśli do niego dojdzie, nie będzie wolny od prób zastosowania metod znanych z lat 1926-1934.

## O POLSKICH ZIEMIACH WSCHODNICH

Na tle recenzji książki St. Mikołajczyka „The Pattern of Soviet Domination”, w „Times Li-

terary Supplement” z dnia 25 grudnia r. ub. rozwinęła się na łamach tego pisma dyskusja — a raczej dialog — na temat polskich ziem wschodnich.

W liście wydrukowanym w „Times Literary Supplement” z dnia 15 stycznia, znany publicysta brytyjski F. A. Voigt skrytykował sformułowanie autora recenzji (którym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest prof. E. H. Carr), jakoby „przeważnie niepolskie terytoria” na wschód od „linii Curzona” były od r. 1920 okupowane przez Polskę.

„Granica polsko-rosyjska — replikuje Voigt — została ustalona przez Traktat Ryski, podpisany dn. 18 marca 1921 roku. Cokołwiek można było utrzymywać na temat rozszereżeń i przeciwozszereżeń do terytoriów, położonych między „linią Curzona”, a tą linią graniczną w czasie poprzedzającym powyższą datę, owe obszary stały się w tym terminie częścią Rzeczypospolitej Polskiej de iure i de facto. Sugerowanie, jakoby po tej dacie były wciąż „okupowane” przez Polskę, uderzać musi jako wprowadzające w błąd.”

Mieszkańcy obszarów na wschód od „linii Curzona” — zaznacza dalej Voigt — byli mieszań pod względem etnicznym. „Jest ścisłe, że nie-Polacy byli tam liczniejsi, lecz mówienie, iż samo to terytorium było przeważająco niepolskie” musi także uderzać jako błędne. Terytorium to było integralną częścią Rzeczypospolitej Polskiej, jego mieszkańcy byli obywatelami polskimi i dlatego jego późniejsza aneksja przez Rosję była nielegalna.”

Do listu Voigta redakcja dodała replikę recenzenta, kulminującą w twierdzeniu, że „sowiecka aneksja tych obszarów w r. 1945 była nie więcej — i nie mniej — „nielegalna”, niż polska aneksja z r. 1921”.

W dwa tygodnie potem, w numerze z dnia 29 stycznia, pojawił się nowy znakomity list Voigta. Zestawienie na równej płaszczyźnie obu „aneksji” — „polskiej” i sowieckiej — określa on jako „groteskowe”.

„Na mocy dekretu Rady Komisarzy Ludowych z dnia 29 sierpnia 1918 r. — wywodzi Voigt — „wszystkie układy i akty zawarte przez rządy b. Cesarstwa Rosyjskiego ... w związku z rozbiorem Polski” zostały „umiędlone raz na zawsze. Mocą tego dekretu przywrócona została de iure granica polsko-rosyjska taka, jaka istniała przed Pierwszym Rozbiorem.”

„Nowa linia graniczna została ustalona przez układ między Polską a Rosją, objęty Traktatem Ryskim. Była ona korzystniejsza dla Rosji o mniej więcej 120.000 mil kwadratowych ob-

### „CZUWAJ!”

Zbiórka na rzecz harcerstwa polskiego trwa. Niech nie zabraknie nikogo na Iście ofiarodawców.

Dary należy przysyłać na adres: Fundusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej, 45 Gloucester Road, London, S. W.7. Czeki, money order i postal order należy wystawiać na: „Polish Boy Scouts & Girl Guides Association”.

### MISYJNA AKCJA ZNACZKOWA

Sekretariat Polskich Sodalicji Marińskich, 39 Fitzjohn's Av., London, N.W. 3, zwraca się z gorącym apelem do czytelników „Myśli Polskiej” o nadanie wszelkich ilości zużytych znaczków pocztowych jakiegokolwiek kraju, a zwłaszcza Polski, celem dopomożenia polskim misjonarzom w ich pracy nad rozszerzeniem Słowa Bożego.



szaru od granicy przedrozbiorowej. Rosja i Ukraina wyrzekły się „wszelkich praw i roszczeń“ do ziem na zachód od granicy ryskiej, która uznana została przez Radę Ambasadorów... Traktat Ryski został potwierdzony i wzmocniony przez pakt o nieagresji, podpisany przez Rosję i Polskę w r. 1932.

„Granica ryska — czytamy dalej — była jedną z niewielu nowych granic europejskich, nie będących przedmiotem sporu, póki Niemcy nie obalili porządku europejskiego w r. 1939. Rosja uważała tę granicę za korzystną dla siebie do czasu, kiedy porozumienie, jakie złączyło ją z Niemcami, nie nadało jej sposobności do możliwości na wielką skalę. Według „Wielkiej Encyklopedii“ wydanej przez Rosyjski Instytut Państwowy (tom 46, str. 276), owa granica była korzystna dla Rosji, ponieważ Sowiety „wyszły z walki (z Polską) zwycięsko“.

„We wrześniu 1939 r. Rosja napadła Polskę i zaanektowała polskie ziemie wschodnie drogą układu z Niemcami. Próbowła ona usprawiedliwić aneksję prawnie, ogłaszając Państwo Polskie

jako nieistniejące. Terytoria wschodnie zostały formalnie inkorporowane do Związku Sowieckiego w tymże roku, a nie w r. 1945, — po sfalszowanych wyborach przeprowadzonych pod terrorystycznym naciskiem, wywartym przez rosyjskie wojska okupacyjne i rosyjską tajną policję.

„Choć później Rosja nakłoniona została do uznania egzystencji Państwa Polskiego, nie wyrzekła się swych podbojów. Zostały one zażyrowane (endorses) przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone wbrew woli prawowitego Rządu Polskiego, który zastąpił go rządem uzurpatorów.

„Z jednej więc strony — konkluduje autor listu — mamy granicę ustaloną przez traktat, który stanowił uczciwy kompromis po nierozegranej wojnie i nie gwałcił żadnego układu międzynarodowego. Z drugiej strony granicę, którą jest wynikiem agresji i aneksji, popełnionej na spółkę z agresorem niemieckim, przy pogwałceniu różnych układów międzynarodowych — samego Traktatu Ryskiego i Paktu Paryskiego (który podległ osobnej i specjalnej ra-

tyfikacji przez Rosję i Polskę) oraz rosyjsko-polskiego Paktu o Nieagresji. Jeśli jedna z tych granic nie jest bardziej lub mniej legalna od drugiej, to słowo „legalny“ nie ma w ogóle znaczenia w stosunkach między państwami, a *Ius Gentium* jest fikcją.“

List ten zaopatrzony znów został krótką odpowiedzią recenzenta, której główne zdanie brzmi: „Granica z r. 1921 była legalna, jak słusznie wywodzi p. Voigt, ponieważ została przyjęta przez ówczesny rząd rosyjski; obecna granica została przyjęta przez obecny rząd polski i jest równie legalna“.

Osobliwość tego „argumentu“ polega na tym, że recenzent „Times Literary Supplement“ zupełnie pomija twierdzenie Voigta, iż „linia Curzona“ odrzucona została przez prawowity rząd polski, który zastąpił go „rządem“ złożonym z uzurpatorów. Dodajmy do tego, że jednym z głównych zadań tego „rządu“ obcych agentów było właśnie — uznanie nowego rozbioru Polski.

WIKTOR TROŚCIANKO

## M E T O D A P O D B O J U

**L**ATEM bieżącego roku minie dziesięć lat od momentu, w którym Rosja zdecydowała się po długiej przerwie wystąpić na arenę polityki międzynarodowej jako świadomy czynnik, decydujący o losach świata i to decydujący w kierunku światowej rewolucji komunistycznej. Wcale nie dla późnego poczucia dumy narodowej przypomnieć winniśmy, że plan Sowietów opóźniony został o dwa dziesiątki lat na skutek oporu Polski w roku 1920. Fakt ten tłumaczy wiele późniejszych wydarzeń zwłaszcza zaś z dziedziny stosunku Rosji Sowieckiej do Polski.

Ambitne plany rewolucji światowej, a praktycznie podboju świata przez komunizm, zapisane w dogmatycznych księgach Lenina i Stalina, musiały na dłuższy czas wejść z powrotem w stadium starannych przygotowań, w czasie których reszta świata zaczęła traktować zjawisko Rosji Sowieckiej jako eksperyment komunizmu w jednym państwie. Sowiety zaś po nieudanej próbie marszu na Europę uświadomiły sobie, że wszystkiego zaimprovizować się nie da, że nawet osłabiona moralnie i fizycznie cywilizacja zachodnia potrafi zmobilizować siły i stanąć do obrony wartości, na których wyrosła.

### 1. KULT PLANOWANIA

Lekcja 1920 roku doprowadziła komunizm do spotęgowania i tak już tkwiącego głęboko w marksizmie kultu ustalania żelaznych praw i dogmatów nie tylko polityki, lecz nawet strategii politycznej. W życiu gospodarczym i w polityce wewnętrznej Sowietów doprowadziło to do niestęchanego przerosłu planowania. Ktokolwiek zetknął się na żywo z rzeczywistością sowiecką, wie do jakich rozmiarów jest tam doprowadzone wszelkiego rodzaju planowanie. Jest to niemal „święta“ i abstrakcyjna wie-

dzia, obliczona tylko w połowie na efekt rzeczywisty, w połowie zaś na wrażenie propagandowe.

Wiadomo, że istnieje tam cała drabina planów, od wypisanych na afiszach i transparentach pochodów, aż do tych, których wymowa dostępna jest tylko kilku ludziom. Nikt się nie przejmując, że planowanie jest bardzo często robotą niepotrzebną, że się nie sprawdza, że często powoduje anegdotyczne dziwolgi gospodarze, jak zaopatrywanie jednego miasta wyłącznie w piłki nożne, a drugiego wyłącznie w akordeony; gdzieś cyferki się zgodziły, a jak i jest ich efekt w życiu — to już „planirowski“ nie obchodzi. Za ewentualne braki i niedociągnięcia ktoś — w środku maszyny wykonawczej — pójdzie do więzienia jako sobotażysta i znów dalej życie pójdzie „po planu“. Coś jednak zawsze zostaje z tego planowania. Zostaje na pewno w polityce, gdzie mit planu skorygowany nieco został bogatym doświadczeniem historycznym Rosji, na którym kształcił się sowieccy mężowie stanu.

Skłonność do zaplanowania wszystkiego z góry cechuje zarówno politykę wewnętrzną, to jest politykę utrwalania komunizmu, jak — w jeszcze większym stopniu — politykę zagraniczną. Bez istnienia i wprowadzenia w życie długofalowych planów komunistycznych, nie do pomyślenia byłoby wytworzenie w krajach wysokiej cywilizacji zachodniej środowisk ślepego posłuszeństwa i entuzjazmu dla barbarzyńskiej ojczyzny komunizmu — kraju niewolnictwa i nędzy jednostki.

Przydałaby się wreszcie jakaś syntetyczna, gruntowna praca, określająca olbrzymią rozpiętość metod, stosowanych przez komunizm w najrozmaitszych szerokościach geograficznych, w stosunku do różnych kultur, ras i naro-

dów. Jeśli takiej pracy dotychczas nie ma, to chyba tylko dlatego, że świadomość niebezpieczeństwa komunistycznego wśród kierowniczych kół największych narodów zachodnich jest bardzo wczesnej daty.

Nas, Polaków problem ten obchodzi do żywego. I u nas wszakże komunizm musiał dopiero chwycić naród za gardło, powalić i systematycznie likwidować, żebyśmy o tym niebezpieczeństwie zaczęli mówić i myśleć w jego właściwych rozmiarach. A i to, dziś jeszcze, próbuje się włosek rozdrzeć na dwoje i oddzielić komunizm od jego centralnego ośrodka — od Rosji Sowieckiej. „Walczyliśmy z Rosją, nie walczyliśmy z komunizmem“ — zdanie to tuła się do dziś po kulisach różnych wypowiedzi polskich „postępowców“. Przedwojenny komunistyczny snobizm intelektualny poczynił głębokie rysy na naszym społeczeństwie i był w niektórych okresach dwudziestolecia protegowany przez elitę rządzącą jako ten, który oddawał cenne usługi w walce wewnętrznej, szczególnie z ruchem narodowym.

Dziś jednak, po tragicznych doświadczeniach ostatnich dziesięciu lat, powszechna jest świadomość prawdziwych planów komunizmu w stosunku do Polski; każdy musi zdać sobie sprawę, że postępowanie Sowietów wobec Polski nie jest jakimś wykorzystywaniem rzekomej politycznej „próżni“, powstałej z osłabienia narodu polskiego w ostatniej wojnie, tylko rezultatem od dawna przemyślanego i przygotowanego planu, do którego rząd sowiecki angażował masy speców.

Spotkał nas nawet w tej dziedzinie politycznego planowania ataku nie lada zaszczyt. Gdy robotą na inne odcinki globu zajmowały się odpowiednie sekcje Kominternu, na nas zwracały uwagę i na naszym terenie pracowały



niemal wszystkie główne organy komunistycznego sztabu, od wywiadu Czerwonej Armii poczynając, kończąc na odpow. ednym resorcie, zajmującym się szkolnictwem i młodzieżą. Na terytorium Polski działało kilka autonomicznych partii komunistycznych, kontrolujących jedna drugą. Z nasilenia prac nad planowaniem akcji widać, jak wielką wagę przywiązywał komunizm do tego odcinka „rewolucji światowej”. Takim olbrzymiemu naporowi, wykorzystującemu również wszelkie ruchy ośrodkowe, oparte o mniejszości, państwowy aparat Polski przeciwstawił tylko bardzo skromną organizację wojskowego wywiadu, który — jak wiadomo — nie grzeszy umiejętnością politycznej symetry; każdy wywiad cierpi na profesjonalną chorobę przeceniania jednego tylko wąskiego odcinka obserwacji. Stąd polska organizacja obrony przed niebezpieczeństwem komunizmu, oparta o plany 2 Oddziału Sztabu, wydaje się, w stosunku do wysiłków ofensywnych przeciwnika, niesłychanie uboga. Wewnętrzny zaś aparat administracyjny więcej zwracał uwagi na organizowanie się polskiej opozycji politycznej, niż na wszelkiego rodzaju organizacje komunistyczne, będące wyciągniętym ramieniem ZSSR.

Nie chodzi nam o rozpamiętywanie smutnych zaniedbań naszej wewnętrznej rzeczywistości przedwojennej. Musimy dokładnie zdać sprawę z tego procesu, jakemu poddany został nasz naród w wyniku ostatniej wojny, a jakiemu może być poddana jutro cała Europa, jeśli narody Zachodu w postępowaniu z komunizmem stosować będą dalej amatorstwo i magiczne zaklęcia, zamiast wypracowania raz nareszcie planu obrony i kontrofensywy politycznej, zamiast zmobilizowania wszystkich sił do nieuchronnej rozprawy.

## 2. JEDEN SCHEMAT

Dziesięć lat taktyki sowieckiej w stosunku do Polski pozwala poznać w najważniejszych zarysach plan podboju — sztywny w zasadniczej konstrukcji i w określeniu ostatecznych wyników, bardzo gętki w szczegółach i w wykonaniu. Co pewien czas powtarzają się identyczne chwytły i metody, powtórzone zresztą na przykładzie innych narodów Europy.

Lato 1939, rok ciężkiej decyzji polskiej podjęcia zbrojnego oporu przeciw agresji niemieckiej — odkryło jedną z powtarzających się metod sowieckich, w tej skali rzadko stosowanych w polityce międzynarodowej. Mowa tu o prowokacji na wielką skalę, przy użyciu całej maszyny dyplomatycznej, propagandowej i wszystkich rozporządzalnych agentur w krajach powstającego aliansu antyniemieckiego. Intencja Rosji sowieckiej szła w kierunku wytworzenia przekonania, że w czasie agresji niemieckiej — odkładając na bok różnice ideologiczne ze światem kapitalistycznym — stanie w obronie dotychczasowego układu sił w Europie, wesprze napadniętego. Akcji propagandowej towarzyszyły posunięcia, mające świadczyć o dobrej woli Sowieców. Negocjacje dyplomatyczne przeciągane były aż do momentu wyprzedzającego wybuch wojny zaledwie o kilka dni, a zakoń-

czyły się układem sojuszniczym i rozbiorczym z — Hitlerem. Oficjalna teza sowiecka o niemożliwości dojścia do porozumienia z partnerami, zachodnimi należy do najbardziej cynicznych chwytów propagandowych, gdy się zważy jak mało państwa te były zaniepokojone komunizmem. Mowy nie ma o przypadku, o zmianę planu przez Związek Sowiecki w ostatniej chwili. Ówczesną „zimną wojnę” wygrała Rosja Sowiecka tak, że państwa zachodnie nie zdawały sobie nawet wtedy sprawy, że w ogóle jest to jakiś szczególny rodzaj wojny.

Podobną akcję z dziedziny zwykłej prowokacji politycznej podjęli Sowieci latem r. 1944, nawołując stołeczną Polskę do rozpoczęcia powstania i pozostawiając potem miasto z całą ludnością na straszliwą zagładę w beznadziejnej walce.

Okupacja terytoriów wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1939-1941 wydobyla na powierzchnię kilka innych komunistycznych szczegółów w ich polityce podboju. Zostały one powtórzone niemal w wiernej kopii w kilka lat potem w ostatnim okresie wojny, czy zaraz po niej.

W pierwszej więc fazie podboju przychodzi terror. Służą on pozorowi „rewolucji” i wyzwolenia ukrytych sił „ludu”, w myśl zasady, że w każdej rewolucji musi być jakieś „zourzenie Bastylii”. Terror taki, nie ma oczywiście nic wspólnego z rewolucyjnym chaosem. Jest od dawna przygotowany, aż do sporządzenia list proskrypcyjnych, a wykonany przez zdyscyplinowane oddziały najeźdźczego wojska i policji z uruchomieniem i częściovym ujawnieniem miejscowego aparatu komunistycznego.

Sowiecka „Bastylia” likwiduje nie jakichś symbolicznych i dawno zapomnianych arystokratów lecz uderza w najbardziej czułe ośrodki, w niewrażliwe punkty atakowanego i podbijanego narodu. Chwyta i wywozi dla wydobycia dalszych zeznań korpus oficerski wojska, aktywnych polityków, przewodców życia społecznego i kulturalnego, jeśli są ośrodkiem jednoczącym duchowe siły społeczeństwa. W ten sposób paraliżuje się na pewen okres funkcjonowanie organizmu narodowego, a w międzyczasie instaluje się przygotowaną sieć komunistycznej czułości („bezpieczeństwa”). Gdy ta ostatnia jest gotowa, nadchodzi krótki okres łagodniejszego kursu politycznego, służącego do wyciągnięcia z ukrycia na powierzchnię społeczeństwa tych, którzy zdążyli, zmylić ślady w pierwszym, wstępnym okresie terroru. W roku 1939 uderzenie sowieckiego komunizmu w pierwszych tygodniach najazdu skierowało się głównie na dwa wielkie centra polityczne i kulturalne: na Wilno i Lwów. Porwano tysiące ludzi, mogących stworzyć po okonięciu się z pierwszego zamroczenia ruch politycznego lub moralnego choćby oporu. Podstępem wzięto tysiące oficerów, których potem stracono, żeby w żadnej już sytuacji, zmiennych losów wojny nie mogli wrócić do służby dla Polski. Katyń nie był przypadkiem. Operetkowe oddanie Wilna rządowi Smetony na Litwie i przejściowe złagodzenie stosunków we Lwowie — były

drugim okresem stabilizowania władzy sowieckiej. Pozór wolności „indywidualnej” w Wilnie pod okupacją litewską wykorzystywany był na dokładną obserwację. Równie podstępne we Lwowie były propozycje zgłaszania się na wyjazd do „Generalnej Gubernii”. Dało to bogaty materiał organom NKWD.

Podobne metody zastosowano znów w latach 1944 i 1945, stosując masowe aresztowania wśród Armii Krajowej i w aparacie polskiego państwa podziemnego. Zaraz potem nastąpiła kreacja Komitetu Lubelskiego z zalewem patryotycznych frazesów.

Tak wygląda początek podboju, który propagandą komunistyczna zwykła nazywać „rewolucją ludową”, a po ostatniej wojnie dla dodatkowego obalamowania demokratycznych społeczeństw Zachodu, nazwała także powstaniem demokracji ludowych.

Następnym etapem sowiezacji jest jakiś akt „woli ludu”. Na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w pierwszych latach wojny była to seria przeróżnych „wyborów” i „plebiscytów”, na które spędzano sterroryzowaną ludność, pokrywając resztę niedoboru w frekwencji z dawno ustalonego sowieckiego schematu. Wynikała z niego spontaniczna radość z nowej sytuacji i zależne od planu albo natychmiastowa prośba o włączenie do ZSSR, albo wybór przejściowych marionetek, podanych bez żadnej alternatywy na jednej liście. Do tych, którzy ociągali się z pójściem na głosowanie, przysyłano agentów policji z „urną”. Był to więc tylko wybór między strachem a poniżeniem własnej godności. Żaden inny.

Taki akt publiczno-prawny w roku 1945, po zajęciu całej Polski przez Czerwoną Armię, miał swoje znamienne odchylenie z uwagi na pomoc, jaką komunizm otrzymał w zainstalowaniu się swoim w Europie ze strony mocarstw zachodnich. Akt „publiczno - prawny”, oparty na rozbiore Polski w Jałcie nosił tym razem charakter międzynarodowej „konsultacji” dyplomatycznej w Moskwie z udziałem kilku niewydelegowanych przez nikogo, a więc reprezentujących samych siebie Polaków, terrorizowanych kolejno przez przedstawicieli władz sowieckich, to znów przez obecnych w Moskwie anglosaskich mężów stanu. Fakt odbycia się takiej „konsultacji” pozwolił Rosji sowieckiej na zaaranżowanie w tejże samej Moskwie procesu polskich przewodców z czasów wojny, sądzonych przez najeźdźcę jako „zdrajcy własnego narodu” i przestępcy wojenni. Jedynym chyba ustępstwem na rzecz b. sojuszników tych sądzonych ludzi było nieogłoszenie na nich natychmiastowego wyroku śmierci.

Na marginesie tej i wielu innych podobnych spraw, trzeba zauważyć, że wszelkie nadzieje, związane z kompromisowymi podróżami do Moskwy, są świadectwem niskiego stanu znajomości taktyki komunistycznej i tego, że w polityce sowieckiej „kompromis” właściwie nie istnieje. Z tych względów podwójnie tragicznie wygląda decyzja polskich przewodców ruchu oporu, którzy uszli morderczemu osaczeniu przez Gestapo. Na znajomość



celów i metod polityki sowieckiej Polacy mieli zbyt dużo czasu i przykładów. Kto choć przez chwilę zapomniał o tym, że nie ma tam mowy o aktach „dobrej wiarę” — przegrywa. Komunizm tak bowiem swych ludzi wychowuje, żeby mieli pogardę dla wszelkiej etyki, jako do jednego z przeżytków kapitalistycznych.

### 3. CZEKANIE NA FAŁSZYWY KROK

Zarówno w nacisku indywidualnym, doprowadzonym do perfekcji w sowieckim wymiarze „sprawiedliwości”, jak w stosunku do grup społecznych, komuniści cierpliwie czekają na pierwszy fałszywy krok swojej ofiary tak, by znaleźć wygodniejszy punkt zaczepienia dla stosowania szantażu, uzasadnienia terroru, albo wciągnięcia w orbitę działania na własną niekorzyść.

Takim pierwszym fałszywym krokiem w polityce polskiej podczas ostatniej wojny był pakt Sikorski-Stalin. Strona sowiecka, ponosząca drugocenne klęski wojskowe, okazała wtedy czym jest szkoła cierpliwości w polityce. Najgorsze dla nas było to, czego tam, wbrew oczywistym interesom narodu polskiego, nie powiedziano, a co pozwoliło na interpretację, w której nie wolno było oczekiwać dobrej woli ZSSR. Użycie formuły „amnestyjnej” w stosunku do ofiar najazdu i porwania przez policyjne organy sowieckie było złowróżbnym sygnałem drogi, po której pójdzie interpretacja układu. Pozwoliło to Rosji Sowieckiej na argumentowanie w granicach własnych ustaw, wydanych na podstawie aktu przemocy i złamania prawa, z pominięciem prawa międzynarodowego i zaciągniętych zobowiązań. Surowość naszego sądu o tej niedostatecznie sztywnej postawie dyplomacji polskiej łągodzi świadomość losu tysięcy naszych rodaków skazanych na powolną śmierć w Rosji.

Było niestety i potem kilka dalszych fałszywych kroków w naszym postępowaniu w obliczu niebezpieczeństwa sowieckiego. Doprowadzały one kolejno do coraz to nowych przejawów gwałcenia polskiego interesu narodowego i praw narodów, z ciągłym tym samym uzasadnieniem bezpieczeństwa Związku Sowieckiego. Przed tym zaś argumentem korzył się i ugiął Zachód, mając nadzieję, że w ten sposób kupi sobie długotrwały pokój.

### 4. UTRWALANIE PODBOJU

Komunizm opracował również niezwykle szczegółowo metody trawienia pokniętych organizmów. Różnią się one znacznie od tych, które zademonstrował przejęciowo w Europie panujący hitlerizm. W ostatecznym jednak wyniku prowadzą do tego samego: do zniszczenia narodów, do takiego ich spreparowania, żeby stały się tylko obiektem dla przeprowadzenia ostatecznej operacji komunistycznej. Jest to coś w rodzaju likwidacji osobowości, stosowanej na sowieckich procesach pokazowych, a ostatnio tak brutalnie zademonstrowanych na kardynale Mindszentym.

Polska stanowiła w tych planach problem bardziej skomplikowany niż

inne narody podbite. I znów próbę tych metod, obliczonych na naród polski jako jednostkę polityczną i cywilizacyjną, mieliśmy w latach 1939-1941 na ziemiach wschodnich, gdzie od razu zostały uruchomione odpowiednie agendy, mające służyć procesowej przeróbce. Jednym z dowodów że wojną sowiecko-niemiecką była dla kierowniczych czynników ZSSR niespodzianką, jest fakt zastosowania całego ich arsenału wchłaniania podbitych terenów. Gdyby Sowiety tę wojnę przewidzieli, a więc gdyby się do niej przygotowywali, zastosowałyby ze swego wachlarza metod coś zupełnie odwrotnego niż stosowały w tym czasie. Każda z uruchomionych agend miała wytknięty plan walki z narodem polskim. Do walki tej użyci zostali także Polacy. Jedni z nich na taką chwilę czekali z utęsknieniem dla wyładowania swej nienawiści i antynarodowego kompleksu, drudzy dali się wciągnąć, nie mając dosyć siły na opór wewnętrzny, stawiając swój pierwszy fałszywy krok i wpadając w sidła szantażu.

Przedmiot wchłaniania rozłożony jest na zespół zagadnień według hierarchii sowieckich potrzeb z uwzględnieniem wzajemnego zależania się procesów. Tak np. zakłada się, że przestawienie gospodarstwa na system sowiecki spowoduje wzrost nędzy, ta zaś zmniejszona odporność społeczeństwa aż do umysłowego zmechanizowania jednostki, doprowadzenia jej do stadium takiego, w jakim znajduje się obywatel ZSSR.

Stosunek do wewnętrznych zjawisk politycznych atakowanego terenu cechuje stopniowość poczynań. Likwiduje się najpierw organizacje stanowiące najbardziej organiczny wyraz samodzielności państwowej i narodowej. Tak więc — na naszym przykładzie — w okresie tworzenia pozorów „koalicji politycznej” usiłowano zmieść w Polsce Stronictwo Narodowe. Jego przeziłość polityczną fałszowano najbardziej, przewodów sądono jako kolaborantów z czasów wojny, ideę ośmieszano w setkach reżymowych publikacji. Czasem nawet z powodzeniem zachęcano przeciwników ruchu narodowego w Polsce do wykorzystania tej „wyjątkowej okazji”. Inne zagadnienia wewnętrzne układu politycznego w Polsce rozłożono na starannie odmierzone etapy bądź stosując metodę powoływania fałszywych partii, bądź ustawicznie rozbijając istniejące. Przykładem tych metod jest trwająca od kilkunastu lat penetracja polskiego socjalizmu, rozkładanie go na frakcje, rozłamywanie grup podporządkowanych komunizmowi. Charakterystyczna jest rola, jaką w tym procesie odegrały PS i RPPS, stanowiące trzon utworzonej później przez Sowietów koncesjonowanej PPS, powołanej do zadań specjalnych w roku 1944, a zlikwidowanej po wykonaniu tych zadań w roku 1948. Innym takim przykładem jest krajowy los koncesjonowanego Stronictwa Pracy, kierowanego przez komunistów przy jednoczesnym potępieniu długoletnich członków tego ruchu jako „zdrajców narodu” i przestawieniu chrześcijańskiej z pochodzenia partii na narzędzie komunizmu.

Są to metody dziś już znane, bo zastosowane przez bolszewików schematycznie w całej podbitej Europie Środkowej, szczególnie zaś w tych narodach gdzie organizacje polityczne mają bogatą tradycję i gdzie kierują dążeniami tych narodów.

Istnienie i działalność w kraju Polskiego Stronictwa Ludowego, jedynej organizacji nie kierowanej przez komunistów, było koncesją obliczoną na efekt propagandowy wśród społeczeństw Zachodu. Z chwilą wypowiedzenia przez Sowietów pozorów współpracy — PSL zostało zlikwidowane, przewodcy poaresztowani z wyjątkiem tych, którym udało się zbiec za granicę, reszta wtłoczona w formę fałszywej partii, utrzymywanej przez reżym dla lepszej rozgrywki z resztkami tej organizacji na terenie kraju.

\* \* \*

Stosunek do Kościoła Katolickiego jest sprawą opracowaną przez komunizm najstaranniej. Tworząc dogmaty własne w dziedzinie materializmu, ma komunizm przede wszystkim na celu zlikwidowanie religii objawionych, a już szczególnie religii chrześcijańskiej, tworzącej naszą cywilizację i będącej jedyną jej trwałą spójnią. Komunizm przestudiował dokładnie metody walki z chrześcijaństwem na przestrzeni wieków i dlatego w tej dziedzinie szczególnie unika odruchów. Uderza i niszczy tylko wtedy, gdy uprzednio przygotuje grunt, to jest doprowadzi do wyeliminowania religii, jako czynnika regulującego życie jednostki i społeczeństwa. Przed ostateczną zagładą Boga komunizm pragnie Go sprowadzić do roli jednego z mitów czy kultów, umieścić gdzieś w historii cywilizacji między Zeusem z Olimpu i drewnianym nurzyńskim tabu. Religia ma stać się kwestią zamkniętą do wąskiego kręgu obrzędu, spełnianego przez upartych, zabobonnych „niekulturalnych” mistyków, z których śmieć się będą ich własne dzieci. Liturgia, zanim znajdzie swe miejsce w muzeum bezbożnictwa, pozornie traktowana jest z tą pobłażliwością, z jaką biały wiekról kolonii zjawia się na obrzędzie tubylców.

Wszelkie więc dyskusje na temat współżycia Kościoła z komunizmem są zupełnie bezprzedmiotowe, a inicjowane przez komunistów są jednym z chwytów z rzędu takich samych, jak gwarantacja swobody wyznania w konstytucji stalinowskiej. Złudzenia na temat współżycia komunizmu z katolicyzmem przeniknęły także kanałami agenturalnymi do katolickiej opinii Zachodu, gdzie nawet powstały i do dziś działają polityczne grupy o mętnych programach radykalnych, ale za to bardzo jasnym programie współdziałania z komunizmem. Ostatnio właśnie hierarchia Kościoła napiętnowała te metody we Francji i Włoszech. Jasne jest, że tak zwany katolicyzm postępowy albo społeczny, współżycący z komunizmem, jest inspirowany przez ten ostatni, działający na bardzo dla siebie delikatnym terenie metodą niewielkich „jacejek”, z których rozchodzą się dalsze inspiracje, jak kręgi po wodzie. W Polsce do takich organizacji należy grupa tzw. „społecznych katolików”.



Nie brak również poważnych potknięć się właściwej opinii katolickiej, nawet w państwie tak głęboko katolickim jak Włochy. Jeśli za wyraz jej w Polsce wziąć szczerą, niezależną prasę katolicką, to w pewnych okresach czasu znajdziemy i tam niebezpieczne wypowiedzi, które mogły przynieść więcej szkody niż korzyści.

„Nikt chyba również nie przypuszcza, że to tylko u nas nie da się pogodzić katolickiego spirytualizmu z marksistowskim materializmem” — pisze w r. 1946 p. Jasienica w „Tygodniku Powszechnym”, omawiając właśnie problem współpracy. Faktów takich — i to o wiele cięższych gatunkowo — było więcej za granicą, nawet w pobliżu Watykanu.

Argument „politycznej konwencji”, stawiany m. in. w Polsce przed paru laty jest ogromnie niebezpieczny. To właśnie nie kto inny, tylko reżym komunistyczny, stara się wciągnąć grupy katolickie w quasi-politykę, po to by je tym łatwiej zgrać w tej „współpracy”, wykazać „sabotaż” i posadzić jako szpiegów i zdrajców na ławach pokazowych procesów.

Zadaniem niniejszych uwag nie jest formułowanie rad ani wskazań postępowania. Każdy jednak ma prawo w obliczu niebezpieczeństwa ostrzec przed krokiem fałszywym.

\* \* \*

Istotę podboju kulturalnego stwierdza slogan komunistyczny o kulturze, która ma być „socjalistyczna w treści a narodowa w formie”. Samo określenie jest jednym więcej przykładem postępowania. Każdą bowiem kultura ma na celu harmonijne złączenie swej treści z formą; przeciwstawianie jednej i drugiej doprowadza w rezultacie do upadku kultury. Formułka sowiecka o kulturze ma za zadanie uspić czujność narodów, łącząc dwie sprzeczne koncepcje; ma to ułatwić penetrację idei komunistycznej łożyskami już istniejącymi w życiu kulturalnym, w które zostanie włana „socjalistyczna” treść, tak jak z czasem pojęcie narodu ma zastąpić olbrzymie zlewisko zwane w terminologii sowieckiej „narodem radzieckim”.

Nie trzeba dodawać, że do tak pojętej kultury nie można będzie przykładać kryteriów narodowych. Wymownym tego przykładem jest umieranie w ZSSR języków rodzimych poszczególnych republik Związku, w którym język rosyjski staje się systematycznie jedynym językiem kulturalnym.

W przekształceniu kultury polskiej na „socjalistyczną” w treści otrzymał komunizm cenionych przezeń wykonawców w grupie intelektualistów oddawna pilotowanych przez Komintern i starannie przygotowanych do roli obecnej. Grupa ta nie robi tajemnic ze swych celów od czasu ujawnienia się jako ośrodek „państwotwórczy”. Z wynurzeń ich, wystarczająco jawnych, nie zawsze były wyciągane odpowiednie wnioski. O tej iluzji świadczy atmosfera paru literackich zjazdów w Polsce, gdzie panowała niezrozumiała zupełna ślepanka. Nie i nikt z komunistów nie upoważnił reszty do budowania jakichkolwiek złudzeń. Mówiono czasem frazesy, które

jednak natychmiast znajdowały sprostowanie w czynach.

Okrutne przeżycia wojny starano się wtłoczyć w formy wyżycia się „antyfaszystowskiego”, spływając w ten sposób temat tragedii narodu i odwracając uwagę od nowego niebezpieczeństwa. Wykorzystywano wszelki oportunizm, tłumiony instynkt pokazania się, wypłynięcia, zrobienia nazwiska literackiego. Palowano na młody narybek. Trochę upolowano. Na takim elemencie oparto codzienną pracę w „sektorze” kultury, przygotowano pokazowe imprezy z udziałem intelektualistów Zachodu. Czołowe idee demokratyczne i wolnościowe reprezentują na tych masówkach pisarzy... sowieccy. Na codzien pompowana jest kultura komunistyczna przez prasę, film, książkę, teatr, nieustanne obchody i akademie.

Nie może to pozostać bez śladu na dłuższą metę, choć — jak dotychczas społeczeństwo zdaje sobie sprawę o co gra się toczy. Warto zacytować dwugłos z roku 1946 między czołowym komunistą a jednym z przedwojennych profesorów literatury na temat założeń filozoficznych kultury komunistycznej.

„Trzeba — pisze Żółkiewski — nauczyć pełnej świadomości możliwości wszystkich założeń swego twierdzenia, umiejętnej kontroli tych założeń, wyrzekania się twierdzeń, które kompromitują niedozwolone założenia, pełnej świadomości metodologicznej, trzeba zawsze wiedzieć jakie kroki logiczne poczyniło się aby osiągnąć pozornie narzucające się, szczegółowe rzekome tylko „rozsądne” twierdzenie, tak, by wreszcie w konsekwencji operować tylko twierdzeniami empirycznymi, odpowiadającymi rzeczywistości znajomości faktów — trudnej umiejętności właściwego różnicowania pozorów od faktów.”

W jednym ze swych artykułów odpowiada na to prof. K. Górski:

„...co się przyjmuje za elementarne źródło poznania empirycznego, dostarczającego władzom myślenia materiału do konstruowania faktów, do stawiania założeń, z których mają być wprowadzane nasze twierdzenia? Tym elementarnym materiałem mają być oczywiście tylko czucia i myślowe i nie pozatym, wobec czego wszelki materiał doświadczenia wewnętrznego, który by się nie mógł wylegitymować oczywistością zmysłową, będzie uznany za rzekomo irracjonalny.”

Komunizm zdaje sobie sprawę, że w codziennej pracy nad przerabianiem kultury polskiej muszą być użyte pojęcia mniej oderwane, lecz za to bardziej praktyczne i skuteczne.

Służą temu narzucany siłą komunistyczny program wychowawczy, organizacja szkolnictwa i publikacja nowego materiału pomocniczego w nauczaniu,

w którym bezceremonialnie fałszuje się oczywiste fakty, jeżeli według założeń komunistycznych są one „irracjonalne”.

\* \* \*

Metody gospodarcze zmierzające do wprowadzenia kapitalizmu państwowego mają także swe bogactwo środków. Usiłuje się w tej dziedzinie wydatnie pomóc w zrealizowaniu rzekomo organicznej teorii Karola Marksa o koncentracji kapitału. Teorii tej pomaga panujący komunizm polityczny różnymi środkami, między innymi drogą likwidowania samodzielnych warsztatów pracy.

Likwidowanie własności rolnej rozłożone jest w głównych zarysach na dwa etapy: pierwszym jest propagandowa reforma rolna, to znaczy zniszczenie gospodarstwa średniego i większego — drugim: kolektywizacja całego rolnictwa pod pozorem niedostatecznej wydajności w ten sposób „zreformowanej” gospodarki. Ideałem zaś jest odebranie wszelkiego samodzielnego oparcia materialnego jednostek i całych grup społecznych tak, by się całkowicie zdały na łaskę i nielaskę oligarchii rządzącej. Powstały w ten sposób proletariąt państwowy wygrywa się ustawicznym mierzaniem jakichś dobrodziejstw, podniesieniem standardu życiowego, awansem, nagrodą.

W Polsce procesy te odbywają się o wiele wolniej, niż by to chcieli bolszewicy. Pozostaje to w związku z niestabilizowaną sytuacją polityczną w świecie, który — ostatnio przynajmniej — zmienia radykalnie zaprzetywania na rzeczywiste tendencje Sowietów.

Tam jednak, gdzie nie ma to większego wpływu na rozmiar produkcji, obniża się regularnie możliwość egzystencji samodzielnej. Jednym z ulubionych chwytów reżymu jest doprowadzanie ludzi do konieczności nielegalnego lub półlegalnego działania gospodarczego, po to, by taką przymusową sytuację móc wykorzystać dla celów politycznych.

\* \* \*

Tak oto, w dużym skrócie, przedstawiają się na naszym przykładzie główne zarysy planowego podboju narodów, wrośniętych głęboko wszystkimi korzeniami w cywilizację chrześcijańską, zwaną niezupełnie ściśle zachodnią.

Niezupełnie ściśle — Zachód bowiem wykazał w tym przełomowym okresie karygodne niedbalstwo, dopuścił się wielu zaniedbań, a co gorsza, sam wyrządził tyle szkód, że uutożsamianie wartości zachodnich z chrześcijańskimi można stosować chyba tylko z nalegu i uproszczenia. Nie znaczy to, by kierownicze koła Zachodu zupełnie nie zdawały sobie sprawy z celów komunizmu. Zdawały, tylko starały się te świadomości ograniczyć, a sam komunizm dopuścić jedynie do obszarów im samym nie zagrażających.

Rachunek taki okazał się z gruntu fałszywy. Taktyka postępowania, oparta o nadzieję współżycia dwóch sprzeczności i o kupiecką zasadę „handlowania z ludźmi” — doprowadza na przedpolu trzeciej wojny światowej, o której — po kilku latach od zakończenia poprzedniej — mówią już nie tylko Polacy.



ZYGMENT STYPUŁKOWSKI

## U M N O W

Zbigniew Stypułkowski przygotuje obecnie do druku tom swoich pamiętników. Znaczna część jego wspomnień poświęcona jest więzieniom i procesowi w Moskwie. Poniżej drukujemy fragmenty dotyczące jednego z współtowarzyszy celi na Łubiance.

**P**EWNEJ nocy wróciwszy od sędziego śledczego zastałem towarzysza w celi. Na pierwszy rzut oka wydawało mi się, iż to jakiś muzyk z zapadłej prowincji. Twarz nic nie mówiąca, ruchy niepewne, zastraszony widocznie. Ubrany w szary szynel żołnierski, obuty w walonki na gumowych podszewkach, siedział czas jakiś w celi bezradny w papasze na głowie. Powoli rozwiązały się nam języki. Okazało się, iż mam przed sobą pułownika armii sowieckiej. Zwał się, o ile dobrze pamiętam, Umnow. Dzieje jego były charakterystyczne dla stosunków sowieckich.

W 1917 r. jako młody chłopiec posłał krowy w jakimś dużym majątku na południowej Ukrainie. Starsi jego bracia wówczas odbywali służbę w armii i brali udział w rewolucyjnych rozruchach po stronie bolszewickiej. Mianowani oficerami postarali się o to, aby Umnow, już jako dorosły mężczyzna nauczył się czytać i pisać. Mniej więcej w dwudziestym piątym roku życia został oficerem. Mając lat 33 wymusił na wojnę rosyjsko-chińską jako dowódca pułku artylerii. Zasłużył się wybitnie w akcji, otrzymał różne gwiazdy i ordery, a wraz z nimi i dziewięć ran. Po wyleczeniu się otrzymał poważne stanowisko w administracji wojskowej. Wtedy, choć miał żonę i dziecko, przyszedł na niego okres życiowego szaleństwa na jego marę. Zakochał się w jakiejś Cygance i, jak opowiadał, spędził w jej towarzystwie szereg upojnych wieczorów.

Cyganka została aresztowana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz W. Brytani. Na wszelki wypadek został aresztowany i Umnow, a w rezultacie długotrwałego śledztwa skazano go na dziesięć lat więzienia. Po trzech latach wystąpił o rewizję procesu i odbywszy wędrowkę po różnych obozach i więzieniach w całej Rosji znalazł się na Łubiance.

Silne piętno, jakie na jego sylwetce psychicznej i fizycznej wywarły ostatnie przeżycia, dawało pole do wielu praktycznych obserwacji systemu sowieckiego. Z gruntu dobry człowiek, współczuł szczerze mej niedoli i jak mógł i uważał, że będzie najlepiej, starał się mi pomóc.

— Powiedz mi, Umnow, po co ty się dałeś zamieszać przez babę w jakąś aferę szpiegowską? Przecież osiągnąłeś wysokie stanowisko w wojsku, miałeś ładną kartę na wojnie, byłeś ze swego losu zadowolony.

— Nic nie wiedziałem — odpowiedział z akcentem szczerości — co jej w głowie. Z całą tą sprawą nie miałem nic wspólnego. Co najwyższe mogłem być

odpowiedzialny za swą nieostrożność, niedopatrznie admin. suracyjne, ale w żadnym razie nie za udział czy choćby bierne współdziałanie w szpiegowskiej akcji.

— To znaczy — pytałem dalej — uważasz, że wyrok skazujący cię na dziesięć lat więzienia czy zesłania do obozu był niesłuszny i niesprawiedliwy?

— Nie — oburzył się — wyrok był zupełnie sprawiedliwy.

— Jakże ty tego nie możesz zrozumieć? — ciągnął dalej Umnow z przekonaniem i nawet z podnieceniem. — Związek sowiecki, przeprowadzał śledztwo w mojej sprawie w pośpiechu. Wojna była w pełnym biegu i nie było czasu na zbieranie materiałów, które by dowiodły mojej niewinności, natomiast każda sprawa szpiegowska jest niebezpieczna dla państwa, zwłaszcza w tak groźnych chwilach. Dlatego było słuszne, że mnie skazano na wszelki wypadek, aby uchylić to niebezpieczeństwo, i nie moge mieć o to pretensji. Ja jestem winien swemu losowi, po co się z Cyganką spotykałem i na taką sytuację naraziłem. Ale ładna była, kochałem się w niej po uszy. Ot, teraz, gdy wojna się skończy i władze sowieckie będą miały więcej czasu, postaram się, aby przeprowadziły ponownie śledztwo, powołały świadków i mam nadzieję, że zmniejszą karę. Siedzę już z górą trzy lata. Może wypuszczą na wolność? — ostatnie słowa wypowiedział mimo wszystko głosem smutnym i zrezygnowanym.

Gdy mowa była o wolności w oczach Umnowa nieraz zakreśliła się łza. Wraciał wspomnieniami do tych chwil szczęśliwych, gdy obcował z naturą. Przywiązany był do wielkich przestrzeni, do roli, do życia wiejskiego. Tam się urodził, wychował, tam spędzał do końca wolne chwile i stamtąd wziął sobie żonkę. Usiłował się domyślać, iż po jego aresztowaniu i wskutek nawałnicy wojennej, która zmoczyła miasta rosyjskie, jego żona i synek tam pewnie pędzą teraz swe dni.

— Kochasz swoją żonę? — pytałem. — Tak, bardzo byłem do niej przywiązany, choć tego nie doceniałem. Teraz jednak staram się o niej zapomnieć zupełnie, i o niej i o dziecku.

— Czemu?

— Ty nie znasz naszych praw. Żona na pewno wyszła już zamaż za innego. Dobrze by zrobiła, inaczej by musiała żyć w nędzy, — po czym tonem wyjaśnienia: nie mam od niej od pierwszego dnia aresztowania żadnej wiadomości. Byłoby dla niej zbyt niebezpieczne okazywać zainteresowanie moją osobą. Próbowałem też napisać do mojej rodziny, do moich braci, ale i oni się nie odezwali. Żona musiała się ze mną rozwieść, gdy zostałem skazany za polityczne przestępstwo, w obawie, aby za mnie nie odpowiadać. A bracia pewno się mnie wyrzekli... Myślę zresztą, że nie żyją, a ryzykownie byłoby się o to pytać.

— Dokąd wrócisz, jeśli cię wypuszczą na wolność?

— Najpierw władze sowieckie umieszczą mnie w którymś z sanatoriów na Krymie, abym wrócił do sił, bo ledwie dyszę. U nas z chwilą, gdy ktoś opuszcza więzienie, staje się z powrotem pełnoprawnym obywatelem. W więzieniu siedzieć nie wstyd, bo przecież przedej czy później każdego ten los spotkać może. Toteż wierzę, że państwo zatroszczy się o moje zdrowie, mam na sobie dziewięć ran z wojny. Po wypoczynku pójdę do któregoś z kolchozów, gdzieś daleko może w Kazakstanie osiądę, będę pracował na roli. Żony już nie będę szukał i syna także. Niech lepiej myśla, że zginąłem. Przede wszystkim się najem — tu twarz Umnowa przybrała wyraz niewysłowionej rozkoszy — na pierwsze zjem śledzika w śmietanie, potem będą pierogi, ogórek, do tego 250 gramów wódki.

Nastąpił długi wywód o ulubionych potrawach chłopca rosyjskiego. Wydało mi się, że słucham jakiegoś natchnionego poety — z takim polotem, w tak harmonijnym układzie i z takim żarem omawiał ten temat...

Przeczytałem niemal wszystkie wybitniejsze dzieła pisarzy rosyjskich epoki porewolucyjnej. Odniosłem nieodparte wrażenie, iż autorzy powszechnie kładli szczególny nacisk na opisy biesiad przy stole i smakowali, w tym, poświęcając sprawom gastronomicznym wiele stron. Gdy na taki opis trafił Umnow w swej książce, nie omieszkał nigdy przeczytać go na głos. Cieszył się przy tym jak dziecko, na równi z bohaterami powieści.

Pułkownik Umnow lubił czytać. W swoim życiu musiał mieć dużo książek w rękę, a niektóre znał niemal na pamięć. Nie miał natomiast kultu książki. W ślad za innymi więźniami odcywał marginesy, aby skrócić w nich papiersa.

— Miałeś Umnow w swoim mieszkaniu jaką bibliotekę?

— Pocóż mi była biblioteka? Książki miałem w czytelną. To przesąd, aby mieć własne książki. Gromadząc je u siebie wyrządzałem krzywdę innym, którzy nie mogliby z nich korzystać.

Ten sam pogląd uparcie wyrażał w odniesieniu do ładnych mebli, urządzenia mieszkania. „Tyś na pewno miał ładne mieszkanie?” — pytał. Oburzał się na mnie:

— Ot, widzę teraz w tobie wszystkie elementy szkodliwego burżuazja. Iluż ludzi mogło oglądać to twoje mieszkanie? No, powiedzmy może pięćdziesięciu, może stu. A iluż mogłoby oglądać te obrazy, dywany i stare meble, gdyby były w muzeum, aby je udostępnić wszystkim!

Oglądałem później muzea sowieckie w Moskwie. Były niekiedy rzeczywiście wspaniałe, zawierały na pewno wiele przedmiotów z dawnych zamożnych domów i pałaców rosyjskich, ale uderzającą ich cechą było, że nikt ich niemal nie odwiedzał.

— To ty nie miałeś żadnych własnych ruchomości? — pytałem dalej pułkownika.



— A pocóż mi, gdziekolwiek stacjonowałem, otrzymywałem mieszkanie z meblami. Z moich poprzednich mebli korzystał ktoś inny, ale nie mów, że nie miałem żadnej własności. Miałem jedno własne lakierowane łóżko...

Zastanawiałem się nieraz, z jakiego podkładu duchowego czerpie Umnow impulsy do swego postępowania. Na codzień zdawał się być aparatem, który pracuje i działa, aby się zachować: aby jeść i zaspokajać swe zmysłowe odczucia. Wiedza jego, najzupełniej mechaniczna, nie rodziła w nim duchowego niepokoju i nie rozszerzała jego horyzontów. Nie miał też wątpliwości, że życie jego jest celem samym w sobie, i że jego obowiązki, streszczają się do tego, aby to życie utrzymać. Ten, kto go nauczył w 18 czy 20 roku życia, kto później dał mu szlify oficerskie, nauczył go też, że Boga nie ma, a Jego stnienie wymyślili popi, po to, aby dźwierzyć władzę nad ludem. Przyjął to tak samo mechanicznie i bez najmniejszej wątpliwości, jak i wszystkie późniejszą regulaminu służby wojskowej i dogmaty o wszechpotędze Związku Sowieckiego. Gdy Stalin zezwolił na dekoracyjną działalność pewnej ilości kościołów prawosławnych, Umnow przyjął ten fakt jako pewną rozrywkę, która została dana rosyjskim kobietom i starcom żyjącym jeszcze wspomnieniami sprzed rewolucji. Religię zastępował przesadami, kult miał jedynie dla maszyn, dla cyfry, dla potęgi. To mu zupełnie wystarczyło.

Sądę też, że to wystarczy jako filozofia życiowa olbrzymiej większości społeczeństwa rosyjskiego. Szukałem w książkach epoki porewolucyjnej jakichś głębszych wynurzeń na temat celu życia człowieka i jego wartości. To, na co natrafiłem, obracało się na ogół w kręgu prymitywnej, bezbożniczej propagandy sowieckiej. W jednej tylko powieści, której tytuł i nazwisko autora zatarły mi się w pamięci obciążonej tytuł następującymi po sobie wydarzeniami, znalazłem ciekawą próbę ujęcia religii człowieka sowieckiego.

Oto ona: Młody robotnik, członek aktywu komunistycznego, zostaje powołany do pracy przy wybudowaniu tamy wodnej, która ma stworzyć warunki do zelektryfikowania olbrzymiej połaci kraju i puszczania w ruch wielu kombajnów... Praca, którą wykonywa, jest ponad jego siły. Suchotnik, pluje krwią i dla przyjaciół jego staje się jasne, iż umrze, jeśli natychmiast nie przerwie wysiłku. Namawiają go, by zgodził się pojechać do sanatorium na Krym. Odmawia i nazajutrz, jak codziennie, podejmuje trud podciągania pod górę złomów skalnych. Wybiera największe, dając przykład ofiarnego wysiłku innym. Następuje u niego gwałtowny krwotok i umiera. Zrozpaczonego przyjaciółom tłumaczy:

„Nie ma odrębnego bytu jednostki, jest tylko materia we wszechświecie, która się stale odnawia tak jak odnawia się naskórek u człowieka, jak zmienia się układ geologiczny ziemi. Na miejscach jednych zużytych cząsteczek przychodzą następne, o nowych wartościach życia dla całości. Wszechświat jest bytem i przez jego rzeczywistość my trwamy wiecznie. Z chwilą, gdy zuży-

wamy się i przestajemy przynosić korzyści całości, sens naszego istnienia indywidualnego odpada. Z chwilą, gdy zamiera w nas energia działania, jesteśmy dla tego bytu zbędni, czynimy mu krzywdę, tak jak zwiędły liść czyni krzywdę pozostając na drzewie. Radość z jaką umieram tłumaczy się tym, że umieram przy pracy, do ostatniej chwili spełniając rolę jako cząsteczka wszechmaterii. Gdybyście odesłali mnie do szpitala odczuwałbym cały ból szkodliwego trwania”.

Umnow, mimo że był pułkownikiem, na widok strażnika, podoficera NKWD, podnosił się zawsze z łóżka i stawał na baczność, zgadzając jego myśli. Wszystko, co mu jego sędzia zakomunikował, było słuszne, tak jak słuszną była kara, którą mu wymierzono. Ale, jak każdy niewolnik z ducha tak i on miał chwile buntu. Gdy go trzeci raz czy czwarty raz w nocy rozbudzano, by ułożyć twarz prostopadle do światła, lub wyjąć ręce spod kołdry, wybuchał nagle. Stawał opór w najbardziej nieuzasadnionym momencie, miał przekleństwo, postawą swą znamionował, że gotów jest rzucić się na swego ciemnościociela. Stan ten trwał parę godzin, po czym cichł, łagodniał, w oczach miala, czekał na

JERZY ZDZIECHOWSKI

## ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ\*)

„Zadanie, jakie sobie postawiłem w tej pracy polega na ułatwieniu wytworzenia sobie ogólnego poglądu na środki działania polityki gospodarczej”. Tymi słowami p. Stanisław Gryziewicz skromnie określa cel, który sobie postawił. Dzięki ogromnemu wysiłkowi myśli, głębokiej wiedzy i subtelnej analizie polska literatura ekonomiczna wzbogaciła się o nowe poważne, a wyjątkowo pożyteczne w obecnych czasach dzieło.

W okresie, w którym dopiero teraz widzimy dobitnie, że struktura gospodarcza Europy leży w ruinach od czasu zakończenia wojny 1914, że świat nie potrafił zabić ran zadanych wielkim kryzysem gospodarczym 1929 roku i wszedł w wojnę 1939 już wycieńczony przewlekłą chorobą — polityka gospodarcza jest tą wielką dziedziną wiedzy, w której dzisiejsi mężowie stanu i ich doradcy szukać muszą wskazówek, by odnaleźć drogę do odtworzenia tkanki dawno, bo przed 35 laty, zatraconej równowagi. Tworzyć więc trzeba nowe wzory, ustalić nowe metody.

Przećięcie Europy i świata na dwoje, odwrócenie dawnych kierunków dróg handlowych, podwojenie produkcji Stanów Zjednoczonych w ciągu lat ośmiu, udoskonalone metody rozstrajania gospodarstw za pomocą piątych kolumn, prowadzą do komplikacji, przed którymi eksperci świata stoją bezradni. Bez mocnego oparcia się na doświadczeniach przeszłości, bez znajomości techniki przedmiotu, jakże dziś trudno

\*) Stanisław Gryziewicz: „Środki polityki gospodarczej”. Instytut Literacki. Paryż, 1949.

karę ciemnicy i z tym większym przekonaniem później dowodził, że będzie zasłużona.

Z tym poczciwym Umnowem dużo rozmawialiśmy o stosunkach w więzieniach sowieckich... Nie było więzienia, nie było celi zbiorowej, w której nie spotkałby Polaków, zarówno ludzi prostych, jak i bardzo niekiedy wykształconych. Wszyscy oni byli gorącymi polskimi patriotami. Dziwiło to Umnowa. Przecież Polska dziś słaba, czy warto tak się upierać przy jej odrębności? Chociaż lubił Polaków, nie mógł im darować, że w r. 1920 pobili Rosję. Uważał to za osobistą satysfakcję, że dziś Rosja pobija Polskę. W tych uczuciach nie przyszedł mu do głowy fakt, iż był Ukraincem z pochodzenia. Tak jak używał mieszanej gwary rosyjsko-ukraińskiej w rozmowie, tak i jego świadomość narodowa zmieszała się w tygłu sowieckim. Uważał, że najlepiej będzie, gdy w tymże tygłu zmiesza się z kole i żywioł polski. „Cóż wy możecie przeciwstawić naszej liczbie czołgów i samolotów?” — pytał.

... Tak oto czuł i myślał pułkownik Armii Czerwonej, wywodzący się z ludu, dziecię rewolucji, która dąży do opanowania świata i przyniesienia mu szczęścia.

wgłębić się w te zagadnienia, od rozwiązania których w sensie opanowania piętrzących się trudności może zależeć zdolność świata kapitalistycznego do stawiania oporu.

Czytelnika, który łatwo mógłby się zgubić w tyłu zawalonych sprawach, autor bierze za rękę i śmiało prowadzi w tym skomplikowanym labiryncie. Robi to z wielką cierpliwością i z troskliwą pieczą, by nie stracił on z oczu w tej wędrówce tego czy innego drobnego na pozór, ale ważnego szczegółu. Środki działania polityki gospodarczej ustawione są na tle różnych sytuacji w syntetycznym ujęciu.

„Poznać rzeczywistość” — jest tą pierwszą radą, która się wyróżnia z czytania tej książki. „Oprzeć się na zasadach moralności chrześcijańskiej” jest tą drugą, która przyświeca rozważaniom autora, gdy nam mówi „o skrepowaniu pozagospodarczych”: „W ten sposób, kryterium gospodarczej wydajności, na którym zasadniczo wspiera się wybór środków polityki gospodarczej, ograniczone jest względami na obowiązujące zasady moralne oraz na interes polityczny narodu”.

Taki profesor F. Hayek w swej rozreklamowanej książce „The Road to Serfdom” dla wolności gospodarczej nie pragnie żadnych hamulec, wtedy kiedy Stanisław Gryziewicz koniecznie ich zastosowania uzasadnia zrozumieniem idei wolności osobistej zgodnej z zasadami moralności, wyprzedzając wnioski, iż ona właśnie „wymaga wyraźnej interwencji państwa w kierunku sprawiedliwego podziału dochodu społecznego i upowszechnienia indywidualnej własności”. „Jest to niesporne, powiada Hayek, iż jeżeli chcemy



zapewnić podział dóbr według z góry obmyślonych norm, jeżeli chcemy z góry powiedzieć, co kto ma posiadać, to cały system gospodarczy musimy oprzeć na planowaniu. Tu zarysowują się wyraźnie dwie odmienne filozofie życiowe, gdy profesor Hayek wyciąga z tego następujący wniosek: „Pozostaje otwartą kwestią, czy ceną, którą chcielibyśmy zapłacić za zrealizowanie czyjegós ideału sprawiedliwość, nie ciąży na nas bardziej niż zło wynikające z nadużycia wolnej gry sił gospodarczych” — generalnego zaobserwowania tych jakoby niewinnych nadużyć wolnej gry sił gospodarczych powstał marksizm, który Hayek dzisiaj tak histerycznie zwalcza.

Dla Stanisława Gryziewicza „zakres swobody danej jednostki jest ograniczony zakresem swobody innych jednostek i interesem zbiorowym”. Bardzo słusznie powiada on, iż „należy się wystrzegać uproszczenia polegającego na utożsamianiu wolności ekonomicznej przedsiębiorcy z wolnością ekonomiczną człowieka w ogóle. Obok wolności ekonomicznej przedsiębiorcy może istnieć nowela ekonomiczna mas społecznych”. Jak w tych warunkach państwo ma nie interweniować? „Między słowami polityka gospodarcza a interwencjonizm można spokojnie — pisze Stanisław Gryziewicz — postawić znak równości”. Należy to zrobić tym bardziej, gdy się widzi, iż może ten interwencjonizm „prowadzić do upowszechnienia wolności człowieka”.

W labiryncie zagadnień, wśród których autor porusza się z ogromną swobodą dając szereg doskonałych określeń i przykładów, niejedynym tematem mógł-

by być przedmiotem sporu i dyskusji. Na przykład w takiej wspólnej wśród tematów różnych wędrowców w niektórych zagadnieniach dotyczących pieniądza nie we wszystkim mógłbym podzielić opinię autora. Wybór właściwego paritetu waluty (str. 105) jest sprawą niezmiernie ważną, nie tylko zdaniem moim z punktu widzenia organicznej równowagi w obrotach płatniczych z zagranicą. W samym bilansie płatniczym nie znajdziemy nigdy dostatecznego kryterium dla jego odszukania. Dla ustalenia gospodarczego paritetu waluty trzeba przede wszystkim odnaleźć taki poziom cen wewnętrznych w walucie nominalnej, który znajduje oparcie stabilizujące w pełni zatrudnienia i w rosnącym dochodzie społecznym, a który wyrażony w złocie zawierałby warunki zewnętrznej ekspansji. Okres dłuższych poszukiwań jest dlatego niezbędny, że chodzi o wyprobowanie trwałości „elementów gospodarki” przede wszystkim na rynku wewnętrznym. Od niej bowiem zależy osiągnięcie najważniejszego celu polityki monetarnej, jakim jest stabilizacja cen.

W zakończeniu autor podkreślił, „iż pominięcia i uproszczenia w tej pracy były zamierzone jakby programowo”. Dla praktycznego celu dania świetnego przewodnika „w spotykanej codziennie przez każdego obywatela problematyce polityki gospodarczej związanym mogło to być niezbędne. Cieszylibyśmy się jednak, gdyby w następnym wydaniu swej pracy p. Stanisław Gryziewicz uznał za możliwe ramy jej trochę rozszerzyć poruszając temat, który świadomie pominął — ocenę wpływu na politykę gospodarczą skutków ostatniej wojny.

## PRZEGLĄD WYDAWNICTW

### MAUGHAM SIĘ BAWI

W. Somerset Maugham: CATALINA. W. Heinemann Ltd. 1948.

Najwybitniejszy dziś niewątpliwie z seniorów angielskiej literatury W. Somerset Maugham ustępuje z areny literackiej dopiero, jak stary mistrz fechtunku, zadając wciąż jeszcze ciosy słabnącą ręką. „Catalina” wydana w sierpniu ub.r. nie jest chybionym zupełnie ciosem. Podkreślam to na wstępie dlatego, że krytyka angielska zbyła na ogół utwór ten zupełnym lekceważeniem, odmawiając mu prawie wartości literackich. Oceniono „Cataline” znacznie ujemniej, aniżeli poprzednią powieść Maughama „Then and now” (Wówczas i dzisiaj), która zasługiwałaby słusznie na sąd tak ostry. Dlatego pragnę ująć się tutaj za „Cataliną”.

Jest to historia cudu uzdrowienia sparaliżowanej dziewczeczki Cataliny — opowiedziana przez autora z dobroduszną zdawałoby się wiarą, jeżeli idzie o sam cud, ale nie oszczędzając bynajmniej ludzi, którzy są wplątani w jego koleje. Rzecz dzieje się w Hiszpanii XVI stulecia — w okresie Świętej Inkwizycji i wojen flandryjskich. Cudu uzdrowienia ma dokonać, w myśl słów Matki Bożej, która objawia się dziewczęciu, ten z szlachetnego rodu Suarezów de Valero, „który najlepiej zaskużył się

jących — którymi bawił swoich współczesnych ojciec włoskiej noweli.

Dawne te opowieści bywały, jako się rzekło, to figlarne, to znów pouczające, a przeżyty Maugham udaje tym razem, że poucza — przy czym cicho dla siebie się bawi, i dlatego, że się sam prawdopodobnie dobrze bawi — o wiele lepiej, aniżeli jawnym cynizmem poprzedniej swej powieści — stary Maugham napisał ten utwór (przynajmniej do połowy) dobrze i żywo.

Spotyka się w nim dużo udanych obrazów, ujęć, porównań, rytm słów jest celny i sugestywny, wycucie charakterów na ogół trafne a akcja płynie naturalnie i żywo. Choć w powieści dominuje właściwy Maughamowi sceptycyzm, autor umie oddać każdej sprawie i postaci sprawiedliwość, wczuć się w powagę, choćby nawet podejrzaną, jej problemów. Np. biskup Blasco de Valero jest nie tylko pokraczny w swym ciasnym braku tolerancji, ale naprawdę tragiczny. Pisarz bierze na serio sytuacje, które stworzył jego ironiczny umysł — i to darzy opowieść pewną głębią i niefałszowanym życiem. Zawsze zresztą podziwiałem upartą ciekawość i zasięg spojrzenia Maughama. Umie on opanować bys rym intelektem nawet te sprawy, w które nie potrafi wnikać swoim dość ograniczonym uczuciem.

Wspomniałem już, że ma pochwaleń zastępuje raczej pierwszą część powieści — naprawdę wdzięczna i żywa. Natomiast coś zaczyna się psuć w „duńskim państwie” Maughama od przelomowej sceny powieści, gdy przełożona klasztoru karmelitanek, matka Beatriz, wstrząśnięta widokiem ziemskiej miłości Cataliny, przemienia się, z wroga tej miłości, w jej protektorkę. W scenie tej Maugham najoczywistej chybia — nie umie nadać jej głębi, ani ekspresji uczuciowej a nawet nie bardzo potrafi wyjaśnić, jak się ona dokonała. Trudno nie wyczuć fałszu i artystycznego nieaktu w zmysłowym wybuchu Cataliny, wybuchu, który powinien był matkę Beatriz przerazić i oburzyć — a nie zjednać jej dla „grzesznej miłości” dziewczęcia, jak to Maugham usiłuje nam wmówić z racjonalną tyczną ślepotą.

W ogóle od tego momentu akcja powieści, z małymi wyjątkami, staje się powierzchowna i ujęta w niedbałych skóbach. Cała końcowa część „Cataliny” jest sztuczna, nienaturalna, źle skomponowana i łamana byle czym. Ręką wiekowego artysty zaczyna naraz drzeć i chybić — jak gdyby powracała starość, której oddech bywa krótki.

Nie ratuje tego b.egu do mety, znużonego naraz swoim wiatkiem pisarza, próba intelektualnej koncepcji, która miała może przyświecać całemu dziełu. Brat-lata i poeta Dominga, mówiące o cudzie uzdrowienia Cataliny, wyjaśnia upokorzenie biskupa i rycerza przy dokonywaniu tego cudu — hipotezą o humorze Boga, który może posiadać w swej obejmującej wszystko doskonałości, także i poczucie humoru. Koncepcja ta, niewątpliwie ciekawa — gdyby ją rozwinąć i naprawdę wcielić w życie dzieła — jest pomieszczona tutaj raczej luźno i wcale nie wykorzystana. Znowu znak skostnienia starczego talentu — gdy intuicja i zmysł twórczy nie wiążą już wszystkiego w żywą zrośniętą ca-

Bogu”. Jest ich trzech: biskup, wojownik i piekarz. Nikt nie przypuszcza nawet, by do dokonania cudu powołany był pospolity i skromny piekarz, nie zaś świątobliwy biskup, lub przynajmniej wspaniały żołnierz. A jednak po nieudanych i upokarzających próbach biskupa i rycerza, okazuje się, że jednak piekarz był wybrańcem Pana. Uzdrawiona w ten sposób Catalina, która wychodzi z zamą za swego ukochanego krawczyka Diega i zostaje sławną aktorką — jest z kolei narzędziem duchowego odrodzenia dla świątobliwego, lecz pełnego wewnętrznych zatargów biskupa, który widząc wspaniałą grę Cataliny na widowisku pasyjnym, budzi się wewnętrznie z długiego omarwienia duszy i umiera — nareszcie żywy. W ten sposób zamyka się krąg cudownych działań w tej, jak autor pod koniec określa, „dziwnej, trudnej do uwierzenia, lecz budującej opowieści”.

Temat, jak widzimy, dość niespodziewany u niedowiarka i kpiarza Maughama, Przeskok od wydanej w r. 1946 cynicznej opowieści „Then and now” nie jest jednak tak wielki, jakby się zrazu mogło wydawać. Oba utwory mają w sobie coś z ducha Boccacciowskiego Dekameronu — jak gdyby narodziły się z tych opowiadań dowcipnych czy budu-



łość, a luźne elementy pomysłu rozsypują się po dziele poronnie i przypadkowo.

Wracając raz jeszcze do porównania z „Then and now” — tamta powieść historyczna z czasów włoskiego renesansu stoi pod względem intelektualnym bezwątpienia wyżej od „Cataliny”. Posiada ona pewną koncepcję zasadniczą, konsekwentnie rozwiniętą, i dużą ilość celnych, choć na ogół oklepanych, aforyzmów. Ale cóż z tego, gdy brakowało jej niemal artystycznej werwy: było to odrobione zadanie pisarskie — nic więcej.

„Catalina” znacznie skromniejsza w swym założeniu, posiada, do pewnej chwili przynajmniej, naturalny wdzięk i prawie szczerą werwę. Wyczuwa się w niej jakiś bodziec, jakiegoś uczuciowego urzeczzenie, które pociąga pisarza, poza samą dyscypliną rzemiosła. Jakiego? Wspominałem już, że cudowność i naiwność tematu zdaje się tak bawić Maughama. Umysł wielkiego starca, znużony rzeczywistością, permutowaną do możliwych granic jeszcze w zbiorze novel „Creatures of Circumstance”, po-

przedzającym „Catalinę” — uciekł oto w dziedzinę bajki, tak jak próbował już raz uciec w dziedzinę taniej metafizyki w „The Razors Edge”. W „Catalinie” wyżywa się ów zasadniczy pierwiastek twórczości, który bodajże Goethe czy Heine określił tak trafnie, jako *L u s t z u m F a b u l i e r e n*. I tak potwierdza się stara prawda, że jeśli już nie głębokie uczucie, to przynajmniej popędy i upodobania — a nigdy tylko zamierzenia umysłowe (jak np. w „Then and now”) — bywają ożywcym źródłem sztuki.

Na koniec stawiam sobie pytanie, dlaczego „Catalina” tak mało trafiła do gustu rodakom pisarza? Może dlatego, że jest raczej łatyńska, niż angielska w swym niefrasobliwym bajczarstwie, w lekceważeniu zmysłu rzeczywistości, w uśmiecniętej, niepuritańskiej wyrozumiałości dla błędów człowieka, z lekką zresztą przyprawą cynizmu. Więcej przypomina Anatola France'a niż humorystów angielskich.

WIT TARNAWSKI

## NOWA KSIĄŻKA O MONACHIUM

John W. Wheeler-Bennett: **MUNICH. PROLOGUE TO TRAGEDY.** Macmillan & Co Ltd. Londyn, 1948. Stron 507, Cena 21 sh.

Okres poprzedzający wybuch drugiej wojny światowej będzie zapewne długo jeszcze pasjonował historyków i polityków. Był to okres, który prowadził państwa zachodnie, a z nimi i Europę, od klęski do klęski, najpierw dyplomatycznej, a następnie — w pierwszej fazie wojny — i wojskowej. Absurdalna pokojowość, bo pokojowość za wszelką cenę, wynikająca z poczucia słabości i ze zmęczenia własnych społeczeństw, wycisnęła ciężko na polityce demokratycznej zachodnio-europejskich. Układ w Monachium z 1938 r. był punktem szczytowym tej polityki słabości i appeasementu. Gdy jednak w pół roku po odłączeniu Sudetów od Czechosłowacji w wyniku Monachium, Hitler przystąpił do wchłonięcia właściwych Czech i Moraw, polityka brytyjska się ocknęła i dokonała się w niej radykalna zmiana.

Londyn stał się ośrodkiem żywej akcji dyplomatycznej, zmierzającej do wzniesienia skutecznej tarczy przeciwko dalszej ekspansji niemieckiej. Miejsce marazmu i bezczynności zajmuje żywa, trochę gorączkowa i nerwowa inicjatywa. Polityka brytyjska, która tradycyjnie unikała podejmowania jakichś trwałych zobowiązań na kontynencie europejskim, teraz nie wahała się udzielać gwarancji szeregowi państw, którym agresja niemiecka mogła zagrażać, nawet w wypadkach, kiedy dane państwa (jak Szwajcaria i Holandia) gwarancji takich sobie nie życzyły. Znane też są próby wciągnięcia Rosji Sowieckiej do udziału w tym nowym systemie politycznym, usiłującym powstrzymać kocioł niemiecki od wybuchu.

Powoli odstaniają się kulisy ówczesnych wydarzeń. Nie wszystkie dokumenty odnoszące się do tego okresu zostały już opublikowane. Archiwa niektórych ministrów spraw zagranicznych nie są skłonne do ujawnienia wszystkich swych tajemnic. Dotyczy to w szczególności akt dyplomatycznych moskiewskich, któ-

re nadal są niedostępne dla badaczy tego okresu. Natomiast światło dzienne ujrzała większość dokumentów i zapisów z licznych i systematycznie prowadzonych archiwów niemieckich. Również proces norymberski ujawnił sporo materiału historyczno-politycznego dla tego okresu, który w normalnym toku wydarzeń nie byłby zapewne doszedł do wiadomości publicznej.

Nic zatem dziwnego, że pojawiają się coraz to nowe publikacje naukowe, które ten dramatyczny zakręt historii świata oświetlają z większym lub mniejszym znanstwem i talentem, które dorzucają nowe szczegóły i które dają swoją własną, mniej lub bardziej wytrawną i obiektywną, interpretację ówczesnych wydarzeń.

Historia nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa o tym okresie, a zwłaszcza o roli Rosji, wobec której sprzymierzeńców zachodnich obowiązywała pewna dyskrekcja. Im bardziej jednak oddalamy się od pozornej idylli ścisłej współpracy anglo-amerykańsko-sowieckiej, tym lepsze powstają warunki dla zgodnego z rzeczywistością przedstawienia biegu wydarzeń i jego oceny.

Książka Wheeler-Bennetta, która pojawiła się w niespełna pół roku po książce Namiera „Diplomatic Prelude” (omówionej na łamach „Myśli Polskiej”) jest już jak gdyby mniej dbała o oszczędzanie wrażliwości rosyjskiej. Namier jeszcze winę za niedojście do skutku układu politycznego i wojskowego między Rosją a państwami zachodnimi składał na te ostatnie oraz zwłaszcza na Polskę. Wheeler-Bennett traktuje ten problem na innej płaszczyźnie. Polityka rosyjska

według niego kierowała się brutalnym realizmem. Chciała zyskać okres wytchnienia (pieredyszkę) przed nieuchronnym starciem z Niemcami i rzekomo bieg wydarzeń potwierdził słuszność tego stanowiska. To nie tyle wahanie, potknięcia się, czy faux-pas protokolarne państw zachodnich wpływały na bieg polityki rosyjskiej, co własny skrajnie egoistyczny nie traktowany interes państwa rosyjskiego.

Można mieć wprawdzie wątpliwości, czy interes państwowy rosyjski wymagał takiej a nie innej linii politycznej, w zasadzie jednak diagnoza ta jest słuszniejsza niż u Namiera.

Książka Wheeler-Bennetta pisana jest z rozmachem, werwą i talentem narracyjnym. Karci on monarchijczyków, jednak nie popada w skrajności i nie robi z nich Belzebubów. Dla Czechów, zwłaszcza dla Benesa ma wiele sentymentu a nawet podziwu. Wyraża się to np. w takiej ocenie: „Geniusz Masaryka i wizja Benesa złożyły się na wytworzenie wysokiej miary sztuki prowadzenia państwa, któremu równy rzadko można by znaleźć w jakimkolwiek państwie europejskim...” etc.etc. (str. 27). Jest on pełen pochwał dla osiągnięć nie tylko mężów stanu, ale i społeczeństwa czeskiego.

Polska cieszy się znacznie mniejszymi autora sympatiami. Rozdział poświęcony przedmonachijskiej polityce polskiej otwiera takie np. zdanie, pełne zjadliwej satyry: „Tradycyjna polityka Polski — polityka, która jak dotąd dała w rezultacie cztery rozbiory — jest polityką kanarka, który uporeczywie choć bezskutecznie próbuje połączyć dwa koty” (str. 282). Gdzie indziej zaś (na str. 375) ubolewa prawie, że Anglija podjęła wyzwanie Rzeszy hitlerowskiej z powodu Polski, a w obronie Czech nie wystąpiła, choć Czechy na to bardziej zasługiwały swoją praktyką demokratyczną, gdy Polska była „państwem rządzonym przez niekompetentną i zaślepioną oligarchię, która przenosiła rządy kliki nad rządy parlamentarne...”

Powyższe akcentowanie przez autora motywu nienawiści do Moskwy i do Berlina jako sprężyny polityki polskiej jest oczywiście nieuzasadnionym upraszczaniem sprawy i podsuwaniem polityce polskiej wyłącznie motywu emocjonalnego. Nieufność polityki polskiej wobec prób wprowadzenia gwarancji rosyjskich do systemu obronnego przed ekspansją niemiecką znalazła wszak w pełni usprawiedliwienie w późniejszym toku wydarzeń.

Książka Wheeler-Bennetta, choć bynajmniej nie jest rewelacyjna, ma jednak warunki na to, by stać się standardem o tym okresie historii najnowszej. Tym bardziej należy ubolewać, że znowu czytelnik anglo-amerykański znajduje sady o Polsce nieprzychylnie, a często niesprawiedliwie.

## DOBRY NIEMCY WYKAZUJĄ RUCHLIWOŚĆ

Fabian von Schlabrendorff: **REVOLT AGAINST HITLER.** Eyre and Spottiswoode. Londyn, 1948. Stron 176.

Pozostali przy życiu spiskowcy antyhitlerowscy wykazują dużą ruchliwość.

W ciągu kilku miesięcy pojawiły się na rynku angielskim, co najmniej trzy książki poświęcone akcji podziemnej, mającej na celu obalenie systemu hitlerowskiego i usunięcie tej zglizdzeni...



mego Hitlera w czasie wojny. O jednej z nich Giseviusa „To the Bitter End” pisaliśmy na tym miejscu.

Fabian v. Schlabrendorff należał do tej samej grupy co Gisevius, przewodził jej b. szef sztabu głównego Beck oraz b. prezydent Lipska Goerdeler. Spiskowcy rekrutowali się prawie wyłącznie z kół konserwatywnych. Należeli do niej wysocy oficerowie, trochę dyplomaci oraz wielu stosunkowo przedstawicieli arystokracji niemieckiej.

Należę do arystokracji do Hitlera była zrozumiała, polegała zresztą na wzajemności. Hitler był parweniusem, a jego metody brutalne i wyzbyte wszelkiego elementu etycznego, były jednak obce umysłowości elity społecznej i kulturalnej Niemiec. Nie znaczy to, by znaczna część arystokracji niemieckiej czynnie nie współpracowała z Hitlerem. Niemniej wśród spiskowców dążących do obalenia Hitlera udział osób utytułowanych był stosunkowo największy.

Schlabrendorff, który nie był prawdziwym oficerem zawodowym, całą swą działalność wymierzoną przeciwko Hitlerowi rozegrał na terenie oficerskim. Był on bowiem przekonany, iż tylko z kół wojska może wyjść decydujące uderzenie, które usunie z widowni Hitlera. Związał się on przyjaźnią z gen. Tresckowem i wspólnie z nim mobilizował przeciwników Hitlera w kółach oficerskich.

Na ogół jednak najwyżsi dowódcy wykazywali brak zdecydowania i brak charakteru w ogóle. Nie zdobywali się oni na protest, gdy Hitler zapowiadał przed kampanią polską, iż „zastosuje środki bezlitosnej surowości wobec Polaków”. Mówił on wtedy, że „będą się działy rzeczy, które zapewne nie znajda uznania generałów niemieckich. Dlatego, by uwolnić wojsko od odpowiedzialności za konieczne „likwidacje”, SS będzie poruczone zadanie wytopienia polskich warstw produkujących, szczególnie duchowieństwa” (str. 51). Schlabrendorff wspomina, iż ten przykład służalczości przewodców wojska napawał jego i jego przyjaciół zgrozą. Generałowie przyjęli również milcząco do wiadomości analogiczny rozkaz Hitlera w przeddzień kampanii rosyjskiej.

Wyżsi dowódcy wojskowi, z małymi wyjątkami, zawiedli. Schlabrendorff, który jako student ścierał się z ruchem hitlerowskim, a później próbował pozyskać dla ruchu oporu koła profesorskie, stwierdza, że i profesorem uniwersytecy na ogół poddał się układowi prądowi hitlerowskiemu, że „na ogół opór profesorów uniwersyteckich był zadziwiająco słaby” (str. 33).

W tej raczej zwężonej do faktów ograniczającej się książce niewiele spotykamy rozważań politycznych czy socjologicznych. Niejako mimochodem zauważa autor, że „naród niemiecki (w erze hitlerowskiej — przyp. rec.) mógł być podzielony na trzy grupy — hitlerowców, nie-hitlerowców i antyhitlerowców”. Ale zaraz dodaje: „Nie-hitlerowcy byli niemal gorsi od hitlerowców. Ich brak kregosłupa... itd.” (str. 35). Charakterystyczne jest to uszeregowanie: najpierw hitlerowcy, potem nie-hitlerowcy, a na samym końcu antyhitlerowcy. Odpowiadało to niewątpliwie rzeczywistości. Toteż nie dziw, że pozyskiwanie sprzymierzeńców było dla Schla-

rendorffa i zbliżonych do niego ludzi „zadaniem szarpiącym nerwy, rezultaty były skąpe, a rozczarowania liczne” (str. 32).

Schlabrendorff wykonał nieudany zamach bombowy na Hitlera w dn. 13 marca 1943 r. Razem z Tresckowem umieścił bombę czasową w samolocie, którym Hitler odlatywał spod Smoleńska do swej kwatery głównej w Rastenbergu. Bomba nie wybuchła.

Kilka innych szczegółów zawiera książka, które warto przytoczyć. Nas Polaków szczególnie zainteresuje informacja zawarta również, chociaż może w mniej zdecydowanym ujęciu, w książce Giseviusa o ogołoceniu z wojsk granicy zachodniej. Czytamy mianowicie na str. 52:

„Na początku wojny niemieckie garnizony wzdłuż tak zwanej linii Zygfrida były słabe. Dlaczego gen. Gamelin, francuski głównodowodzący, nie skorzystał z tego momentu dla ofensywy przeciwko Niemcom, pozostało niezrozumiałe, gdyż w opinii niemieckiego sztabu głównego mógł być przebieć się przez niemiecki system obrony jeśli nie z łatwością, to z niewielkim wysiłkiem”.

W pierwszym roku kampanii rosyjskiej (Hitler i Brauchitsch ludzili się, iż potrwa ona zaledwie kilka tygodni) Hitler zapowiadał, że zamierza zatopić Moskwę z wszystkimi jej mieszkańcami, zakazywał wkraczania do miasta, które miało zniknąć na zawsze z powierzchni, a na jej miejscu miało powstać ogromne jezioro.

Wreszcie niezmiernie charakterystyczne są uwagi o przyczynach słabej kontratacji niemieckiej w chwili lądowania wojsk alianckich w Normandii dn. 6

czerwca 1944 r. Lądowanie to odbyło się w nocy. Niżsi dowódcy lokalni nie śmieśli przerwać snu gen. Zeitlerowi, szefowi sztabu głównego. Czekano, aż się obudzi. Zeitler również jeszcze przez godzinę marudził, zanim doniósł o tym Keitlowi. Dohorowe dwie widwizje pancerne, które stały w pogotowiu na wypadek rozpoczęcia inwazji mogły być rzucone do akcji tylko na rozkaz samego Hitlera. Tymczasem zrobiło się południe, zanim odnośny rozkaz nadszedł. Wtedy jednak było za późno, by zechnąć poważnie już sły alianckie do morza. Informacje te brzmią trochę groteskowo, ale są przecież w stylu niemieckim.

Opis tortur w więzieniach gestapowskich utrzymany jest w formie suchej i rzeczowej. Kilka cytatów z listów przedśmiertnych skazańców ma akcenty wzruszające i podniosłe. Myśl o Bogu i wieczności pozwala im godzić się z nieuniknionym losem.

Ci z Polaków, którzy przeszli przez kaźnie niemieckich czy sowieckich obozów koncentracyjnych zapewne zgodzą się z następującymi uwagami autora:

„Ci spośród nas, którzy nigdy przedtem nie nauczyli się modlić, czynili to teraz i przekonali się, że tylko modlitwa może przynieść pociechę... i że jest źródłem więcej niż ludzkiej wytrzymałości. Poznaliśmy także, że modlitwy naszych przyjaciół i krewnych mogły przekazać nam prądy nowej siły” (str. 156).

Książkami takimi budzi się w społeczeństwach anglosaskich sympatię dla Niemców i zasypuje przepaść wykopaną przez Hitlera.

## DROGI POLITYKI AMERYKAŃSKIEJ

J. E. Tyler: GREAT BRITAIN, THE UNITED STATES AND THE FUTURE. Published under the auspices of the London Institute of World Affairs. Stevens and Sons. Londyn, 1947. Stron 130.

Autor jest wykładowcą (senior lecturer) historii nowoczesnej na uniwersytecie w Sheffield. Jak sam pisze, książka usiłuje rzucić nieco światła na przyszły bieg spraw światowych, ze specjalnym uwzględnieniem polityki Stanów Zjednoczonych. Czynniki, które w szczególności wpływają na bieg spraw i stosunków międzynarodowych — to siła i interes, i pod tym właśnie kątem widzenia autor przeprowadza swoją analizę położenia politycznego i snuje przewidywania na przyszłość.

Książka jest napisana niewątpliwie inteligentnie i z wielką znajomością rzeczy, zwłaszcza jeśli chodzi o zagadnienia szczegółowe. Można jej jednak zrobić zarzut, że rzuca ona światło wielokierunkowe, rozproszone, wskutek czego całość obrazu nie rysuje się wyraźnie i plastycznie.

Autor nie odkrywa niczego nowego, gdy stwierdza, że na arenie politycznej świata ostały się po obecnej wojnie tylko trzy, a właściwie rzecz biorąc dwie potęgi wszelkiej miary — Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka, z Wielką Brytanią w dość dużej odległości za nimi.

Ocena sił i żywotnych interesów tych trzech wielkich mocarstw wypełnia karty interesującej książki, która wystrzega

się tanich przepowiedni i spekulacji i pozostaje na gruncie rzeczywistości.

Stany Zjednoczone wyszły z ostatniej wojny wzmocnione, ożywione, z nowym poczuciem swej ogromnej siły. Jej gospodarstwo narodowe nie doznało — w przeciwieństwie do Rosji — żadnego uszczerbku; przedwzrost — wojna była dla nich bodźcem do rekordowego rozkwitu. Przed polityką amerykańską stoją otworem trzy drogi — całkowitej izolacji, którą zresztą wszystkie odpowiedzialne czynniki odrzucają; skrajnego interwencjonizmu, który jest przeciwieństwem poprzedniej drogi, a który jest praktycznie niewykonalny; wreszcie trzecia, pośrednia droga, wybierająca z poprzednich metod postępowania elementy najlepsze. Oczywiście najbardziej zasadniczą podstawą polityki amerykańskiej jest obrona bezpieczeństwa Stanów, które choć nie bezpośrednio było zagrożone przez Niemcy hitlerowskie.

Na temat Niemiec autor nie podziela bynajmniej dość powszechnej opinii, że ich potęga skończyła się raz na zawsze, że z tej strony świata nic nie grozi itd. Hasze on na str. 25: „Obecna sytuacja może dostarczyć nawet potężniejszego bodźca dla odrodzenia narodowego w tym kraju, niż cokolwiek co stało się w 1918 r. Tak jak się sprawa przedstawia dzisiaj, istnieje ciągle jeszcze problem niemiecki, ale innego rodzaju. Problem słabości niemieckiej zamiast problemu siły niemieckiej, ale może on jest nie mniej niebezpieczny”.



Gdy czynne wystąpienie Ameryki w dwóch wojnach światowych było wynikiem poczucia zagrożenia ze strony Niemiec, obecnie Ameryka napotyka na swej drodze inny „problem światowy” w postaci Rosji.

Pod wielu względami Ameryka pełni rolę Anglii sprzed stu laty, ma podobne znaczenie w świecie i widzi przed sobą podobne zadania.

Między innymi równowaga sił na kontynencie Europy jest tak samo w interesie Stanów Zjednoczonych jak to było (i jest) w interesie Anglii.

Sama Anglia w kalkulacjach politycznych Stanów Zjednoczonych, w których nie sentyment lecz interes przeważa, odgrywa pokaźną rolę, jako punkt oparcia dla ewentualnego zaatakowania kontynentu europejskiego, gdyby na nim równowaga sił została gruntownie zwichnięta, co stanowiłoby zagrożenie zwykłych interesów bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Jeśli chodzi o obszar Europy Środkowej i Wschodniej, autor nie poświęca mu wprawdzie tyle uwagi, co zagadnieniom np. Chin lub Środkowego Wschodu, stwierdza jednak, że „Stanom Zjednoczonym wyraźnie na tym zależy, by odnośne liczne małe państwa osiągnęły istotną niepodległość polityczną i gospodarczą, albo żeby co najmniej miały sposobność postępowania po własnej drodze bez poważnych ograniczeń, jakich ich gospodarstwom nakładałaby uprzywilejowana pozycja sowiecka” (str. 77).

Autor w ocenie dróg i zadań polityki amerykańskiej słusznie bierze poważnie pod uwagę element gospodarczy, który wszak tak wielką rolę gra w życiu Ameryki.

Książka Tylera pozbawiona jest może wyraźnych wniosków, jednak inteligentnemu czytelnikowi daje wiele materiału do przetrawienia myślowego.

(m. ost.)

## POWOJENNE FELIETONY GRUBINSKIEGO

Wacław Grubiński: O LITERATURZE I LITERATACH. Nakładem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Londyn, 1948. Stron 156, cena 7/6.

Felietony Wacława Grubińskiego miały już przed wojną wyrobioną markę i znaczny zastęp gorliwych czytelników. Obecnie wyszła w Londynie książka zawierająca zbiór felietonów tego autora, pisanych już po wojnie, głównie w Anglii. Część tych felietonów stanowi barwne wspomnienie Grubińskiego o postaciach współczesnej literatury polskiej i francuskiej, przeważnie już nieżyjących a znanych osobście autorowi, pozostałe felietony obracają się dokoła krytyki zarówno rzeczy klasycznych jak i współczesnych, niektóre zaś należą do rodzaju tzw. refleksji.

Sława pisarska Grubińskiego zwała nas od obowiązku oceny jego stylu i walorów literackich. Nasuwa się jednak porównanie między dawnymi felietonami tego autora a obecnym zbiorkiem. Odnosi się wrażenie, że Grubiński nie tracąc nic z przejrzystości i lekkości stylu osiągnął jak gdyby głębszy i cieplejszy ton. Nie uległ on brutalnemu naciskowi kataklizmów światowych w tym stopniu, by zejść z płaszczyzny czysto literackiej, jednakże na-  
pięcie czasów, w których wypadło mu żyć i dramatyczność przeżyć osobistych zdają się odbijać pewnym refleksem na intensywności jego artystycznych odczuwań.

W.

## LITERATURA A POLITYKA

Wacław Grubiński, Józef Kisielewski, Marian Emil Rojek, Wiktor Sukiennicki, Tymon Terlecki, Jan Ulatowski, Stefania Zahorska: LITERATURA A POLITYKA, Wolne Opinie. Nakładem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Londyn, 1948. Stron 56, cena 2/6.

Związek Pisarzy zorganizował odczyt na temat „Literatura a Polityka”, na który złożyły się przemówienia wyżej podanych autorów, reprezentujących dość szeroki wachlarz poglądów i specjalności. Odczyt nie był pomysłany w ten sposób, by autorzy uzgadniali między sobą treść i naświetlali różne strony tego samego zagadnienia. Różnorodność wypowiedzi jest wynikiem różnych indywidualności autorów i przypadku. Nie sposób więc ująć w jakąś jedną ogólną ocenę tych wypowiedzi. Szereg z nich nawiązuje do toczącej się w świecie walki między czerwonym totalizmem a wolnością myśli. W wielu z nich znaleźć można interesujące refleksje lub piękne sformułowania. Nie stanowią one jako broszura żadnej zwartej całości.

W.

## TEKI HISTORYCZNE

Szersza publiczność czytająca nie zna na ogół wydawnictw naukowych polskich wychodzących dotąd w Londynie. Do takich należy w pierwszym rzędzie kwartalnik „Teki Historyczne”, wydawany przez Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii. Czasopismo to zaczęło się ukazywać w czerwcu roku 1947 i opublikowało dotąd 5 zeszytów.

Największą bodaj wartością „Tek” jest obfity dział recenzji, obejmujący w pierwszym rzędzie książki i wydawnictwa historyczne polskie, a także związane z tematami polskimi lub dotyczące historii powszechnej. W każdym numerze znajduje się kilkanaście takich krótkich ocen krytycznych, zarówno z literatury historycznej po skiej jak i obcojęzycznej. Nieco słabiej przedstawia się materiał oryginalnych rozpraw. Są tam przeważnie artykuły treści ogólnej o historyce lub metodach historycznych, czasami obszerniejsze recenzje. Na przestrzeni półtora roku zamieszczono tam właściwie 4 tylko rozprawy mające charakter oryginalnych prac historycznych. Są to Marii Danilewiczowej „Straty wojenne bibliotek polskich”, Wiktora Weintrauba „Blaski i nędze dziejów życia prof. Tarlego”, Mariana Kukiela „Koncepcje powstania narodowego przed Wiosną Ludów” i Juliusza Kozolubskiego „Służba sardyńska gen. Wojciecha Chrzanowskiego”. Dwie pierwsze z tych prac dotyczą wydarzeń współczesnych, dwie ostatnie związane są ze stuleciem „Wiosny Ludów”. Nie jest to dorobek obfity, ale trudno winić redakcję, że w tak niesprzyjających warunkach historycy na wychodźstwie nie prowadzą systematycznej pracy naukowej.

Dla szerszej publiczności najciekawszy jest artykuł p. Weintrauba. Na przykładzie prof. Tarlego widać jak pod mikroskopem cały stosunek komunizmu do nauk historii i cały antykulturalny charakter tego ruchu. Widać zarazem w jaki sposób z inteligentnego i utalentowanego lewicowego uczonego robi się stopniowo bezwstydny agitator polityczny. Analiza ta odsłania pewne strony bezbronności umysłowości liberalnej wobec nacisku komunistycznego totalizmu.

Należy żywić nadzieję, że wydawnictwo „Tek Historycznych” zdoła się mimo wszystko utrzymać i będzie kontynuowało swoją pracę również w bieżącym roku.

## Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

### RADA SN W W. BRITANII

W dniu 6 lutego odbył się Zjazd Rady Stronnictwa Narodowego w Wielkiej Brytanii przy udziale kilkudziesięciu członków z całej wyspy wybranych na Zjeździe Delegatów i Mężów Zaufania w maju r.ub. Obrady Rady trwały przez całą niedzielę.

Dokonano wyboru Prezydium Rady w składzie: przewodniczący Z. Stypulkowski, pierwszy zastępca dr J. Ruszkowski, drugi zastępca J. Płazak, sekretarz H. Janiszewski.

Obrady poświęcone były dyskusji głównie nad sprawami społecznymi Polaków w Wielkiej Brytanii. W zakończeniu przyjęto szereg uchwał, a między innymi uchwałę ogólnopolityczną, w której powiedziano:

„Za naczelne wskazania w polityce Stronnictwa Rada uważa: 1) stanie na straży samodzielności polityki polskiej i reprezentowania prawdziwej woli i interesów narodu polskiego; 2) zachowanie ciągłości prawnej państwa polskiego w postaci legalnych władz naczelnych Rzeczypospolitej na uchodźstwie; 3) dążenie do rozszerzenia podstaw rządu tak, by objęły one wszystkie główne stronnictwa polskie stojące na gruncie niepodległości i całości państwa”.

W innej uchwale Rada przypomina uchwałę Zjazdu Delegatów i Mężów Zaufania w sprawie ujawnienia funduszy publicznych i kontroli nad nimi.

### SMUTNY PŁON

Ciężkie przeżycia, dotykające całe społeczeństwo, pozostawiają zawsze smutny płon w postaci zwiększonej liczby osób o zwichniętym systemie nerwowym, a nawet umysłowo chorych. Objaw ten dotknął i Polaków, którzy w następstwie wydarzeń lat ostatnich znaleźli się na emigracji w Wielkiej Brytanii. Liczba umysłowo chorych osób narodowości polskiej — przeważnie byłych więźniów sowieckich i niemieckich obozów koncentracyjnych — na Wyspach Brytyjskich obliczana jest na około 600, z tego na zakład w Epsom przypada około 310.

Biorąc pod uwagę ciężar przejść, jakie spadły specjalnie na Polaków, nie należy uważać cyfr tych za szczególnie wysokie; nie są one w każdym razie proporcjonalnie wyższe niż w społeczeństwach Zachodu, żyjących w warunkach o tyle normalniejszych.



i między narodami. Przykre doświadczenie z jakimś narodem może zmniejszyć nasze do niego zaufanie, czy raczej sprowadzić to zaufanie do właściwych granic. To wszystko, a poza tym pozostaje już tylko sprzeczność lub zbieżność interesów oceniana bez wtrętu czynników uczuciowych. I nie widzę w takiej postawie nic cynicznego ani niemoralnego. Sentymentalizm, uczuciowość, porywczość, żal, słowem stany uczuciowe, nie są żadnym odpowiednikiem moralności, a opanowanie i chłodny rozsądek

nie mają w sobie nic niemoralnego. Przeciwnie, umiejętność znoszenia krzywdy i nieszczęścia w milczeniu wydaje mi się cnotą, a mianowicie przejawem cnoty męstwa. Przy tym milczeniu utwierdza w człowieku opór, który wymyślane rozładowuje.

Powstrzymajmy się od narzekania, wymyślenia i złośliwości w stosunku do dawnych, a być może i przyszłych sprzymierzeńców, za to pilnujmy twardo i czujnie naszych interesów.

JANECKI

## LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

### JAK TO BYŁO Z „REDUTĄ”

Poniżej zamieszczamy, nadesłany nam przez p. Borowicza, odpis listu wystosowanego przez niego do Redakcji „Dziennika Polskiego” w dn. 25 stycznia 1949 r. List ten tylko w formie ulamkowej ukazał się w „Dzienniku” w dn. 16 lutego.

Redakcja „Dziennika Polskiego”,  
151/3 Curzon Road, E.C.2.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł pt. „Kurs spraw wschodnich Reduty” podpisany inicjałami St. M. w numerze z 22 bm. pisma Pana skłania mnie do przekazania Panu poniższych uwag, podyktowanych wyłącznie pragnieniem sprostowania nieścisłości, od których roz. się wspomniany artykuł.

Ne chcę przesądzać znaczenia ani wartości naukowej organizowanego obecnie w Londynie przez „Redutę” Kursu Spraw Wschodnich. Każdy kurs tego rodzaju, jeśli wezmą w nim udział uczeni z prawdziwego zdarzenia, powinien dać pewien wkład do wiedzy o Rosji i Środkowym Wschodzie. Pragnąłbym natomiast rozwiać legendę, jaką naokoło „Reduty” roztacza omawiany artykuł, a dotyczący działalności „Reduty” na Bliskim Wschodzie. Meszkalem osiem lat na Bliskim Wschodzie i wyjechałem do Anglii jednym z ostatnich transportów polskich, ale pierwszy raz słyszę obecnie o naukowej działalności „Reduty” na tamtym terenie.

Zrzeszeniami o charakterze naukowym czy kulturalnym były tam w tych latach:

1. Towarzystwo Przyjaciół Kultury Polskiej w Jeruzolimie (prezes p. Heydel), zajmujące się wyłącznie gromadzeniem książek i czasopism;
2. Polski Instytut Naukowy w Jeruzolimie (filia Instytutu prof. Haleckiego w Stanach Zjednoczonych), prowadzący jako jedyna tamtejsza organizacja poważne badania naukowe. Prezesem tej organizacji była prof. Cezaria Jędrzejowiczowa, w skład władz wchodził: mgr Stanisław Janicki, Włodzimierz Bączkowski, dr Janina Platowa, dr Jan Szuldrzyński i dr T. Turkowski;
3. Sekcja Wydawnicza Min. WR i OP, którą kierował p. Tadeusz Stopczyński;
4. Sekcja Wydawnicza JWSW;
5. Koło Przyrodników im. Kopernika (prof. Rouppert);
6. Towarzystwo Lekarskie (prof. A. Laskiewicz).

„Reduta” natomiast była organizacją nie naukową, lecz polityczną i propagandową, przy tym wybitnie jednostronną politycznie, jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne polskie. Pomyślana ona była jako placówka polityczna, która uda się utrzymać na tym terenie po likwidacji tamtejszych środowisk polskich (stąd właśnie nazwa „Reduta”). Logicznym wnioskiem z tych założeń było, że „Reduta” powstała bardzo późno, już w okresie gdy rozpoczęła się ewakuacja Polaków z Bliskiego Wschodu do Wielkiej Brytanii, a więc dopiero w roku 1947. Z tej samej przyczyny doskonała książka Bączkowskiego „Rosja wczoraj i dziś” nie mogła być wydawnictwem „Reduty”. Była tylko wydawnictwem własnym autora, ponieważ ukazała się z górą o rok przedtem, zanim ktokolwiek na Bliskim Wschodzie pomyślał o zakładaniu „Reduty”. „Reduta” nie miała nic wspólnego z nauką, chyba tylko tyle, że gdy utrzymanie jej na Bliskim Wschodzie okazało się niemożliwe, organizatorzy „Reduty” przewieźli do Wielkiej Brytanii księgozbiory Dowództwa JWSW i tutaj usiłują przypisać sobie dorobek zarówno pracy naukowej Polskiego Instytutu Naukowego w Jeruzolimie jak dawnego Towarzystwa Studiów Irańskich z Teheranu prof. Kościakowskiego, pracującego dotąd naukowo na terenie Libanu.

Nie jest prawdą, jak twierdzi autor omawianego artykułu, że inteligencja polska na Bliskim Wschodzie była „skupiona dokoła symbolicznych liter JWSW”. Była ona, chwała Bogu, skupiona i gdzieś indziej, natomiast owe symboliczne litery skupiały i zasilały funduszami niestety tylko inteligencję o przekonaniach sanacyjnych. Nie posiadała również „Reduta” żadnej „Rady Naczelnej”, która to nazwa nasuwa Polakom, którzy przebywali na Bliskim Wschodzie nienajlepsze asocjacje. Oznacza ona bowiem organizację, która w Jeruzolimie przez szereg lat utrwalała społeczeństwu polskiemu narzucać się jako jego reprezentacja, wbrew woli tego społeczeństwa, wyrażanej wielokrotnie w uchwałach stronnictw, organizacji społecznych i różnych zjazdów. Tzw. „Rada Naczelna Uchodźstwa Polskiego w Palestynie” była i pozostanie odpowiedzialna nie tylko za ostateczne rozbięcie Polaków w Palestynie, ale i za odcięcie uchodźstwa od czynników, które sprawowały nad nim opiekę.

Byłoby rzeczą interesującą stwierdzić

czy autorzy obecnej reklamy dokoła osiągnięć naukowych „Reduty” na Bliskim Wschodzie potrafią wskazać w prasie polskiej z tamtego terenu, bardzo przecież licznej, choćby jedną wzmiankę o działalności, lub nawet istnieniu tej organizacji. A także, czy potrafiliby wymienić skład „Rady Naczelnej” tej organizacji i podać, kto i gdzie ją wybierał, podobnie jak kto i gdzie wybierał jej imiennikę, tzw. „Radę Naczelną Uchodźstwa Polskiego w Palestynie”. Posiadanie pieniędzy ze źródeł urzędowych nie uprawnia jeszcze nikogo ani do tego by mienić się przedstawicielem społeczeństwa, ani naukowcem. Do tych pozycji dochodzi się własną pracą społeczną czy naukową.

Najgorszą zaś rzeczą jest uprawianie polityki grup pod płaszczykiem naukowości, wtedy bowiem nie mamy do czynienia ani z nauką ani z polityką, tylko z prostym wprowadzaniem w błąd społeczeństwa. Ale twórcy „Reduty” wyszli z takiej szkoły politycznej w przedwojennej Polsce, która pozwoliła im nie nauczyć się niczego nawet w ciągu dziewięciu lat naszego wygnania. Jest rzeczą niezmiernie przykra, iż trzeba ten fakt publicznie podkreślać.

Zechce Pan Redaktor przyjąć  
wyrazy poważania

T. BOROWICZ

Kelvedon Hostel,  
nr. Colchester, Essex.

25 stycznia 1949.

### W SPRAWIE „NA TROPACH SMĘTKA”

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z opublikowaniem nr. 2/81 tygodnika katolickiego „Życie” z dnia 9. 1. br. listu p. Melchiora Wańkowicza pt. „Na tropach Smętka” pozwalam sobie wypowiedzieć się w tej sprawie i proszę o udzielenie mi miejsca na łamach „Myśli Polskiej”.

Aczkolwiek zostałem wysiedlony, wraz z całą rodziną, z Prus Wschodnich dnia 2 maja 1939 r. (na cztery miesiące przed rozpoczęciem działań wojennych) i nie otrzymałem żadnej pomocy ze strony „czynników oficjalnych”, czy też sądu obywatelskiego, na który p. M. Wańkowicz się powołuje, uważam książkę „Na tropach Smętka” za pozytywną, gdyż w moim przekonaniu w bilansie zysków i strat poruszenie opinii polskiej sprawą Prus Wschodnich przeważa szalę. Cmentarz pod Monte Cassino miesiąc przeszło tysiąc ofiar, ale imię jego jest bardziej znane opinii świata niż dziesiątki polskich „Lidie”, Majdanków, Stutthoffów itd., które pożarły miliony. Nie zgadzam się natomiast z wypowiedzią autora, że „publikując książkę wykazał maksimum odpowiedzialności”. O ile bowiem p. Jędrzej Giertych wiedomości udzielił przed mago ojca śp. Kazimierza Domitrskiego z Ramz w książce pt. „Za północnym kordonem” potraktował jako poufne, o tyle autor „Na tropach Smętka”, pomimo danego słowa, niektóre sprawy opublikował.

Ojciec mój miał policyjne dochodzenie w sprawie cytowanego przez p. W.



## O Ś.P. GRABOWSKIM

**B**YLEM już starym i zażyłym na Uniwersytecie Stefana Batorego studentem, któremu nawet woźny z pierwszego korytarza podawał rękę, gdy poznałem Napoleona Grabowskiego.

Niewielkiego wzrostu, w szarym zwykłym ubranku, z wydetymi na kolanach spodniami, stał się on wkrótce znaną w Rzeczypospolitej Akademickiej postacią. Napoleon różnił się tym od innych działaczy, że na wszystko miał czas. Rano pilnie uczęszczał na wykłady, co na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych stanowiło niemal rewelację, w przerwach zawzięcie dyskutował na korytarzu, kładąc przeciwników celnymi i ciętymi uwagami, wieczorami przygotowywał jakis artykuł do prasy narodowej lub opracowywał skrypty. Na zebraniach Bratniej Pomocy lub na wiecach akademickich Napoleon Grabowski święcił triumfy, zawzięcie atakując komunistów, którzy używali wówczas na terenie USB szyldu katolickiej organizacji „Odrodzenie”.

Grabowski był jednym z najzdolniejszych słuchaczy wydziału prawa i słusznie otrzymał stypendium. Gdy nastały czasy zniesienia autonomii i pod płaszczykiem „bezpartyjności” rozpoczęła się walka z młodzieżą narodową (stanowiącą większość studentów), wstrzymano wypłaty stypendiów i zasiłków Bratniej Pomocy, która wydawała kilkaset darmowych obiadów, Napoleon znalazł się w kłopotach finansowych. Do podania o stypendium trzeba było dołączyć świadectwo moralności ze starostwa, natomiast starostowie z reguły odmawiali takich świadectw narodowcom. Nie potrzebuje dodawać, że Napoleon Grabowski figurował w kartotekach referatu bezpieczeństwa starostwa jako „antypaństwowiec”.

Napoleon, nie zważając na to, wyruszył do starosty po świadectwo. Był to wówczas czas sławetnego p. Kowalskiego, odznaczającego się wyjątkową tępotą i niezwykłą gorliwością służbową. Pan starosta, zgodnie z instrukcjami, uważał każdego narodowca za wroga, toteż zwykle sam załatwiał studentów aby wyciągnąć od nich trochę informacji, lub choćby tylko plotek.

Grabowski został zaproszony do gabinetu p. Kowalskiego, który go bardzo serdecznie i wylewnie przyjął, ale oświadczył, że nie może wydać świadectwa, bo Grabowski pisuje do „Dziennika Wileńskiego”. Zaproponował mu natomiast „wieczorne zajęcia” w starostwie, na które oczywiście Grabowski nie zgodził się. Po pożegnaniu Kowalski wyznaczył mu spotkanie za kilka dni i obiecał „zrobić wszystko, co jest w jego mocy”. Rozmowy, jak wyżej, powtarzały się regularnie w ciągu miesiąca. Napoleon w skupieniu i z wielką regularnością przychodził do starosty na wyznaczoną godzinę i odbywał jałowe rozmowy. Gdy minęły już wszystkie terminy składania podań, Kowalski z „rozpaczą” w głosie oświadczył, że nie mu nie udało zrobić, więc prosi, aby Grabowski nie miał do niego żalu, „bo przecież on... Napoleon szurgnął nogami, bardzo serdecznie pożegnał go i prosił, aby pan starosta niepotrzebnie się nie martwił, gdyż

on już otrzymał stypendium załączając dawno świadectwo z innego starostwa.

\* \* \*

Na trzecim roku studiów wydał Grabowski skrypt z prawa karnego. Gdy w czerwcu składał egzamin z karnego u prof. Wróblewskiego (bardzo niepopularnego wśród młodzieży za pochwalanie procesu brzeskiego), ten powiedział: — Dobrze pan zdał, ale spodziewałem się, że taka endecka gwiazda...

Napoleon nie dał mu dokończyć i z miną jak najbardziej układną wypalił: — Nawet największe gwiazdy błędą wobec słońca...

Nieraz, gdy w czasie wojny rozmawiałem z kolegami, przychodził mi na myśl Napoleon, nikt jednak nie mógł mi dać o nim żadnych bliższych wiadomości. Dowiedziałem się później, że odbył on w stopniu sierżanta podchorążego kampanię wrzesniową, a wróciwszy do Wilna, zarabiał na kawałek chleba jako robotnik, następnie zaś miał stragan ze starzyzną pod Halami. Miał bardzo ciężkie warunki życia, ale był pełen energii i wiary w szczęśliwą dla narodu przyszłość. Podczas okupacji niemieckiej ożenił się z b. słuchaczką wydziału prawa Mariolą Nazarkówną. Młode małżeństwo przeniosło się do Zaboczia Szczuczynskiego koło Łidy, do całkowicie obrabowanego domu jego nieboszczyka ojca.

„Majątek” młodej pary składał się z kilku koców, poduszek, dwóch kilimów, kilku fotografii, no i dwu gorących, kochających i zapalonych serc. Nie też dziwnego, że dom Grabowskich stał się ogniskiem, które promieniowało szeroko. Była to ostoja ducha polskiego — kto czuł i myślał po polsku w tamtych stronach, zdążył ku temu ognisku. Ruch oporu tam się koncentrował...

W dniu 5 stycznia 1944 r. dom Grabowskich został otoczony przez Gestapo. Dwóch Niemców weszło do środka. Rozległy się strzały. Prawdopodobnie strzelał Napoleon chcąc się bronić, gdyż gestapowcy wyskoczyli z budynku i zaalarmowali pozostałych. Niemcy obrzucili dom granatami i podpalili. Z płonącego domu dały się słyszeć rozpaczliwe wołania Marioli i służącej — potem wszystko ucichło. Niemcy przez kilka dni strzegli zgliszcz, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do nich, potem dopiero odeszli. Miejsce ludność ze czcią złożyła na cmentarzu zwęglone szczątki Marioli z Nazarków Grabowskiej i jej służącej. Trupa Napoleona nie znaleziono.

Grabowski zginął, jak wielu innych narodowców — w walce z wrogiem, nawet bez wzmianki w prasie, bez głosego westchnienia w gronie kolegów i współtowarzyszy ideowych, na co rzetelnie zasłużył...

STANISŁAW JANICKI

## NA MARGINESIE

## W POSTAWIE OBRAZY

**N**IE wiem z jakich pokładów duszy polskiej bierze się ta skłonność do obrazy. Polak lubi się czuć obrażonym. Znajduje jakąś satysfakcję w poczuciu, że jest na kogoś obrażony. To uczucie mu coś widocznie wewnętrznie załatwia, daje jakąś przyjemność, podnosi jego wartość we własnych oczach. Wywyższa

go ponad tego, na kogo się obraził, pozwala go w duchu poniżyć i przeklinać, bo ja wiem co jeszcze zresztą? Dość, że postawa obrażonego odpowiada nadwilszańskiemu rodakowi.

W oczach innych ludzi postawa obrażonego wywołuje szyderstwo. Człowiek obrażony w większości wypadków jest śmieszny. Bywa zabawny nawet wtedy gdy ma rację, nawet wtedy gdy został rzeczywiście skrzywdzony. Jego krzywda i cierpienie zabarwiają się jakby elementem niepoważnym, groteskowym.

A cóż dopiero obraza w polityce międzynarodowej. Obrazić się na jakiś naród... W niczym to nie umniejsza w oczach świata jakiegoś narodu, że ktoś jest na niego obrażony. W niczym nie zwraca sympatycznej uwagi świata na jakiś naród, że jest on na inny naród obrażony. Natomiast wyrabą obrażonemu narodowi opinie niepoważnego, nie serio, a opnia to w życiu międzynarodowym bardzo groźna.

Postawa obrażonego jest w gruncie rzeczy postawą niemiecką. Mężczyzna, którego ktoś znacznie mocniejszy skrzywdził czy zdradził, skoro nie może na to skutecznie odpowiedzieć, zaciska zęby. Nie stała w domowym gronie do długich i gorzkich wywodów na temat swej krzywdy i przewrotności drugiego, nie wymyśla na niego półgłosem, tak by go tamten usłyszał, nie odgraża się wśród przyjaciół. To są bowiem wszystkie gesty dziecinne i niedojrzałe.

Niestety przed kilku laty, w poczuciu krzywdy narodowej wielu Polaków przyjęło postawę obrazy w stosunku do Anglosasów. Jedni domagali się demonstracji, inni szukali cierpienia, inni wymyślali głośno, niektórzy uważali, że im teraz wszystko wolno. Nie można się dziwić, jeśli tak reagowali ludzie z życiem publicznym nie obcy, ludzie uczuciowi i przyzwyczajeni do reagowania bezpośrednio a do pozostawiania myślenia o ogóle tym, których przyzwyczajali się uważać za bardziej wykwalifikowanych. Gorzej, gdy podobny stosunek, podobna postawa obrazy opanowała niektórych ludzi obowiązków do stosowania innych próbieży działania. Gdy postawa obrazy tkwi u źródła rozumowania pisarza czy polityka, jest niedobrze. Pisarz czy polityk ma obowiązek rozumowania politycznego, czyli celowego. Swoim sentymentem i resentymentem powinien dawać upust tylko wtedy, gdy wzmacniają jego tezę, gdy prowadzą do określonego, rozumem wyznaczonego i osiągalnego celu. Rozum wsparty uczuciem daje dużą siłę; rozumowanie będące pokrywką dla wyżycia się uczuciowego jest słabością.

Szczególnie niepoważnie wygląda postawa obrażonego na jakimś naród, gdy ten obrażony przebywa na terytorium obrażającego i z jego własnej ziemi gromi go i objawia mu pogardę. Gdyby on nas serio tak zwalczał — myśli gospodarz — to by u nas nie siedział. Ot, burczy zabawny złośliwiec... Jest w tym coś z postawy takiego starego wujcia-rezydenta, który nie rozmawiał z siostrzeńcem posesjonatem, ale mieszkał latami pod jego dachem.

W polityce międzynarodowej nie ma miejsca na miłość, ani na urazy. Między kupcami istnieją wspólne i rozbieżne interesy, poza tym istnieją różne stopnie zaufania, miłości nie ma. Podobnie



WACŁAW IWANIUK

## MODLITWA ZA TYCH CO ODESZLI

Najlepsza jest modlitwa mówiona na drzewach, gdy w zielonych sandałach wieczór nam się kłania, gdy trawy są spokojne i słowik się nie gniewa, a cisza palce kładzie na wargach i na zdaniach.

Gdy poza nami mrok układa się w najdziwniejsze pasma i wiszą krucho pająki o łapczywych ustach. Gdy gwiazdy upadają na szaro jedwabne kurtyny na ziemię — Celnicy śmierci wysyłają czujne patrole gdy mrok łamie jasne połowy — a łapczywy oręż śmierci walczy niepotrzebnie o życie ...

Najlepiej jest się modlić za tych co odeszli!

„Cetelka“ na stronach 235 i 236 wspomnianej wyżej książki. W czasie ćwiczeń niemieckiej OPL biernej w dniu 25. 11. 1934 o godzinie czwartej rano przybyła do Ramz, posiadłości mego ojca, komisja OPL i znalazła, że okna obory, w której odbywał się udój, były niezastąpione. Kara wynosiła 3000 RM, których też „sąd obywatelski“ p. Wańkowicza nie wziął pod uwagę i ojciec musiał zapłacić sam.

Nawiasowo dodaję, że o tej samej godzinie okna obory sąsiada Niemca jazyły się bardzo wyraźnie, a wspomniana „komisja OPL“ ich nie zauważyła. Może działa się to niezależnie od książki p. Wańkowicza. Nie dziwiłem się, gdy stryj mój Witold Donimirski zmarł w Dachau, lub że brat mój Zbigniew odsiedział całą wojnę w Guzen, ale dla czego w takim razie wzięto do obozu w Stutthoffie (gdzie wkrótce zmarł) p. Józefa Donimirskiego z Cygnus, staro kawalera dochodzącego lat 60, który nigdy sprawami społecznymi się nie zajmował. Miał na sumieniu tylko to, że wymieniony został na stronie 241 wspomnianego dzieła.

Dnia 15 sierpnia 1939 r. aresztowania w pow. sztumskim, nazwanym przez p. W. „Malboreją“, liczyły kilkadziesiąt osób działaczy polskich i na palcach dziś można policzyć żyjących. Trudno mi się więc też zgodzić, że książka dokonała „rewindykacji duchowej Prus Wschodnich“ dla Polski.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

MARIAN DONIMIRSKI  
123, Wyckoff Ave.,  
Brooklyn, N.Y., USA

## ROZNICE

Poniżej drukujemy zakończenie z następnego nam listu w sprawie przypadających w tym roku rocznic Mickiewicza, Słowackiego i Szopena.

...Ani w listopadowym, ani w grudniowym numerze „Myśli Polskiej“ nie zauważyłem żadnej wzmianki o tych trzech wielkich rocznicach myśli polskiej. Przypuszczam, że tylko przez przeoczenie komitet redakcyjny „Myśli Polskiej“ nie zrobił tego. Wzmianka tego rodzaju

ma to do siebie, że przygotowuje czytelnicy ogół i naprzód zawiadania Polaków, by ci przygotowali się godnie na te wielkie święta naszego narodu.

Powiem szczerze, że brak tego rodzaju wzmianki w czasopiśmie reprezentującym narodową myśl wszechpolską — niemiłe zaskoczył mnie.

Natomiast w jednym z numerów „Myśli Polskiej“ zauważyłem wzmiankę p. Wita Tarnawskiego o klubie miłośników Conrada. Dzwonne to swoją drogą. Młodzież polska chce dużo wiedzieć o Mickiewiczu, Słowackim, Kraśńskim, Norwidzie, Szopenie, Prusie, Hoene-Wrońskim, Trentowskim, Cieszkowskim, Brzozowskim, Wyspiańskim, Kasprowiecu i innych wielkich Polakach. A potem młodzież polska takie stawia mi pytanie: Dlaczego nie zawiązuje się klubu miłośników Hoene-Wrońskiego, Słowackiego, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Brzozowskiego i innych a zwłaszcza, tak aktualnych dziś Norwida i Brzozowskiego — tylko Conrada, który jest pisarzem angielskim a nie polskim?

Może Panowie zechcą odpowiedzieć na takie pytanie młodzieży polskiej.

FRANCISZEK SKIBINSKI  
Ingolstadt (Niemcy)

W sprawę rocznicy mickiewiczowskiej odpowiedziami niech będzie numer styczniowy „Myśli“. Podobnie we właściwym czasie uwzględnić zamierzamy rocznice Słowackiego i Szopena. W sprawie Conrada odpowiemy listownie.

Co do Conrada-Korzeniowskiego to choć pisał on po angielsku twórczość jego przeniknięta jest pierwiastkami polskimi. Biorąc nadto pod uwagę, że Conrad jest wedle zgodnej opinii krytyków jednym z czołowych powieściopisarzy świata, wydaje się zrozumiałe, iż wśród emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii znaleźli się ludzie, którzy objawili czynne zainteresowanie tymi właśnie polskimi pierwiastkami jego życia i twórczości. Nie stoi to w żadnej mierze w sprzeczności z zainteresowaniem, jakim tym bardziej otoczeni być powinni w społeczeństwie emigracyjnym wielcy polscy poeci, pisarze i artyści.

Redakcja

## UWAGA

Kupując w wymienionych niżej sklepach spółdzielni brytyjskich, czyli Co-Operative Society, powiększacie fundusze Związku Ziemi Północno-Wschodnich. Przy zakupie żądajcie wpisania na następujące rachunki: W Derby i licznych sklepach hrabstwa Derby No. 94080, w Cardiff, St. Mary Str. na No. 2912, w Nottingham, Upper Parliament Str. na No. 79, w Chorley, Market Place na No. 21, w Leeds na No. 127882.

Wszędzie do nabycia książka  
dra STANISŁAWA STKRZYPKA

p. t.

„UKRAIŃSKI PROGRAM PAŃSTWOWY  
W ŚWIETLE RZECZYWISTOŚCI“

Naktadem  
Związku Ziemi Południowo - Wschodnich.

TREŚĆ NR 132 (ROK IX, NR 3)  
„MYŚLI POLSKIEJ“

JASNE STANOWISKO — Prezes Bielecki w Ameryce — Pressure Group — Ruch Europejski — Zjazd paryski emigracji — O polskich Ziemiach Wschodnich; METODA PODBOJU — Wktor Trościński; UMNOW — Zbigniew Stypułkowski; ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ — Jerzy Zdziechowski; MAUGHAM SIĘ BAWI — Wit Tarnawski; NOWA KSIĄŻKA O MONACHIUM; DOBRZY NIEMCY WYKAZUJĄ RUCHLIWOŚĆ: DROGI POLITYKI AMERYKAŃSKIEJ — (m. ost.); POWOJENNE FELIETONY GRUBIŃSKIEGO — W.; LITERATURA A POLITYKA — W.; TEKI HISTORYCZNE; RADA SN W WIELKIEJ BRYTANII; SMUTNY PLON; O Ś.P. GRABOWSKIM — Stanisław Janicki; W POSTAWIE OBRAZY — Janecki; JAK TO BYŁO Z „REDUTĄ“; W SPRAWIE „NA TROPACH SMETKA“; ROCZNICE; MODLITWA ZA TYCH CO ODESZLI — Wacław Iwaniuk.

## „MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie,  
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i administracja:  
8 Alma Terrace, Allen Street,  
London, W.8. Tel. WEstern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów)

12s lub 4 dol.

Prenumerata roczna (12 numerów)

f.1 4s Od lub 8 dol.